Strona 8

Czy ten dług uda się zmniejszyć?

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

Strona 11

Bunt kobiet uderza w irański reżim

16 grudnia 2022 - Warszawa – Polska | www.nowyswiat24.com.pl | Numer 22(34)/2022

Holenderska walka o klimat. Likwidacja gospodarstw rolnych to pętla na szyję

Aby spełnić wymagania Unii Europejskiej dotyczące klimatu, rząd holenderski zdecydował się na zakup trzech tysięcy małych gospodarstw rolnych w całym kraju z wyraźnym zamiarem ich likwidacji. Rząd obiecał zapłacić „znacznie powyżej" wartości gospodarstw, ale jeśli rolnicy odrzucą ofertę rządu, wykup stanie się obowiązkowy. Tłumiąc drugą co do wielkości gospodarkę rolną na świecie, decyzja ta skutecznie zagłodzi postawę wielu organizacji, prących do tego, aby „nakarmić duszę" globalnego programu klimatycznego – pisze Carmel Richardson w portalu The American Conservative.

Choć jest to mały kraj, Holandia emituje więcej podtlenku azotu i amoniaku niż jakikolwiek inny członek UE, przez co stała się celem dla aktywistów klimatycznych. Jeszcze w 2018 r. Trybunał Sprawiedliwości nakazał Holandii zająć się emisjami, z których większość organy zarządzające przypisały zwierzętom gospodarskim. Od tego czasu rząd uchwalił wiele planów mających na celu zmniejszenie emisji azotu o 50 proc., w tym obniżenie ograniczeń prędkości, wstrzymanie nowych projektów budowlanych, a ostatecznie przymusowy wykup gospodarstw rolnych.

W kraju działa prawie 54 tys. przedsiębiorstw rolnych. Likwidacja 3 tys. z nich jest znacząca, a wygląda na to, że jest to tylko pierwszy krok w realizacji celów klimatycznych Holandii i UE. Jednak koszty tego planu mogą być znacznie wyższe, niż rząd holenderski jest gotów przyznać. Naród, który zawiązuje pętlę na szyi jednej z najstarszych praktyk znanych człowiekowi, z pewnością przysporzy sobie co najmniej tyle samo problemów, ile ma nadzieję wyeliminować.

To tylko przeniesienie winy

Niektóre problemy są widoczne już dzisiaj. „O ile można oczyścić krajową produkcję z zarzutu zanieczyszczania środowiska, o tyle nie można oczyścić z niego importu. Gdzieś, ktoś – prawdopodobnie Chiny – to nadrabia. Wszystko, co zrobiliście, to prze-

Ciąg dalszy na stronie 2

USA muszą znieść „narzucone przez siebie ograniczenia", by realnie pomóc Ukrainie

„Ukraińcy desperacko potrzebują obrony powietrznej, obrony rakietowej i zdolności antydronowych, aby bronić się przed rosyjskimi atakami na infrastrukturę cywilną. I potrzebują czołgów, ciężkich czołgów, by zdobywać kolejne tereny na polu walki" – powiedział były sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen. Rzecznik Pentagonu twierdzi jednak, że nie mają w planach rozszerzenia pomocy, ale „będą kontynuować tę dyskusję". O sprawie pisze serwis Washington Examiner.

Anders Fogh Rasmussen uważa, że administracja Bidena musi znieść „narzucone przez siebie ograniczenia" dotyczące pomocy militarnej dla Ukrainy. Twierdzi on, że jest to konieczne, by wojska ukraińskie mogły pokonać siły rosyjskie.

W wywiadzie dla Washington Examiner Rasmussen przyznał, że nie rozumie, dlaczego wprowadzono ograniczenia, skoro

Ciąg dalszy na stronie 3

Sposób, w jaki Floryda rozwiązała problem imigracji, spodobał się w wielu krajach Europy

Czy w ślady Rona DeSantisa, republikańskiego gubernatora Florydy, pójdzie cały świat? Czy zdaje sobie on z tego sprawę, że swoimi niedawnymi decyzjami stworzył szkołę myślenia o imigrantach i imigracji? – zastanawia się „La Gaceta". Obecnie bowiem drugie co do wielkości miasto Szwecji próbuje „stylu DeSantisa", jeśli chodzi o napływających uchodźców.

O co chodzi? O to, że DeSantis kilka miesięcy temu odesłał transport pięćdziesięciu nielegalnych imigrantów z Florydy do Martha's Vineyard. Uznał, że ta niewielka wyspa na Atlantyku, u wybrzeży amerykańskiego stanu Massachusetts, może ich lepiej przyjąć, ze względu na swoje bogactwo i wyrażaną miłość do przybyszów z obcych krajów.

„Floryda dała im możliwość poszukiwania bardziej zielonych pastwisk na terenie, który oferuje im większe zasoby" – stwierdziło w oświadczeniu biuro gubernatora, przedstawiając go, jako orędownika dobrobytu imigrantów.

Widać, że takie decyzje podobają się wyborcom, gdyż DeSantis 8 listopada zapewnił sobie reelekcję na drugą kadencję, pokonując demokratę Charliego Crista i

Ciąg dalszy na stronie 2

Dr Janusz Grobicki
Redaktor Naczelny

Moc truchleje

Pierwsza partia uzbrojenia z Południowej Korei dotarła do Polski. Dziesięć czołgów K2 Black Panther generacji 3+ zasiliło arsenał 20. Brygady Zmechanizowanej w Morągu. Zgodnie z zawartą w lipcu umową, łącznie w Korei Południowej kupimy 1000 czołgów K2 i ich spolonizowanej wersji rozwojowej K2PL, a także 672 haubice samobieżne K9. Kontrakt dotyczy również m.in. towarzyszących wozów obsługi technicznej. Pod koniec sierpnia 2022 r. ustalono, że dostawa pierwszych 180 czołgów K2 nastąpi w latach 2022-25. Natomiast 212 haubic samobieżnych K9 mamy otrzymać w latach 2022-26. Zapewnienie uzupełnienia stanów broni pancernej i haubic jest o tyle ważne, że spora część polskich zasobów trafiła na front ukraiński. Według ostatnich doniesień sprzęt, który wykorzystywany był intensywnie w zwycięskich bataliach o Izium oraz na kierunku chersońskim, wymaga niezbędnej konserwacji i remontów. Dotyczy to zwłaszcza konieczności wymiany zużytych luf armatnich. Problem ten mają także Moskale i być może dlatego, postęp ruskiego „walca artyleryjskiego" nie jest w stanie dokonać głębszego przełomu w ukraińskich liniach obrony. Niestety, słabością Ukraińców są szczupłe zapasy amunicji. Szacuje się, że wystarczyć jej może tylko do wiosny.
W związku z tym istotne jest przyspieszenie wymiany sprzętu na ten, który dostosowany będzie do amunicji spełniającej parametry natowskie. Rosyjska i poradziecka amunicja staje się coraz mniej dostępna dla obrońców oraz niosących im pomoc sojuszników. Stany Zjednoczone planują olbrzymie zwiększenie produkcji amunicji. Celem jest nie tylko utrzymanie, czy wręcz zwiększenia pomocy dla walczącej Ukrainy, ale także odbudowa własnych, kurczących się zapasów. Rosjanie nastawili gospodarkę na tryb półwojenny i kosztem jakości, w szybkim tempie odbudowują swój arsenał. Eksperci spodziewają się nowej ofensywy pułkownika Putina na Kijów, ale również oczekują ofensywy ukraińskiej na froncie zaporoskim. Oby Boże Narodzenie przyniosło Europie nadzieję na Pokój.

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

16 grudnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 22(34)/2022*

Holenderska walka o klimat. Likwidacja gospodarstw rolnych to pętla na szyję

Ciąg dalszy ze strony 1

niesienie winy" – pisze autorka analizy.

Dodaje, że są też inne praktyczne implikacje. Holendrzy są uważani za jeden z najbardziej wydajnych narodów na świecie pod względem hodowli zwierząt. Z obszaru niewiele większego od Maryland, eksport rolny wyniósł około 105 mld euro w samym 2021 r. Można się więc założyć, że nie tylko Holandia odczuje skutki mniejszej liczby gospodarstw produkcyjnych.

Według publicystki powinno to być uderzającą retrospekcją dla Amerykanów, których naród był kiedyś zdominowany przez rolników (co, oczywiście, różni się od eksportu rolnego, który nie zależy od liczby rolników). Mężczyźni i kobiety, którzy uprawiali ziemię i hodowali zwierzęta, stanowili większość pierwszych amerykańskich osadników, podobnie jak dziś Holendrzy. Oni również byli powoli poddawani regulacjom, a w efekcie tylko ci, którzy nauczyli się produkować na masową skalę, mogli wytrzymać presję finansową.

„Możemy się zastanawiać, dlaczego miliony Amerykanów są rolniczymi analfabetami, ale wystarczy pomyśleć i zapytać, ilu z nas zna osobiście rolnika lub samemu uprawiało rolę. Jako praca, rolnictwo nie pozwoli utrzymać się większości osób. A tak na marginesie, czy kiedykolwiek istniał dziwniejszy świat niż ten, w którym bardziej dochodowe jest publikowanie swoich zdjęć w internecie niż hodowanie kilku sztuk bydła?" – czytamy w The American Conservative.

Jesteśmy istotami sezonowymi

Joel Salatin, farmer z Wirginii, który zasłynął jako przeciwnik wielu nowoczesnych praktyk rolniczych, sprowadza większość swoich przemyśleń do idei, że wolność wymaga uczestnictwa. Jeśli zależy ci na ochronie pewnych rzeczy, czy to kurczaków na wolnym wybiegu, czy też na swobodnym wyznawaniu swojej religii, będziesz musiał zaangażować się osobiście. Ci, którzy nie uczestniczą, lub w przypadku holenderskich rolników zostali pozbawieni możliwości uczestniczenia w walce o własny sposób życia, nie mogą być wolni.

Jest to istotne nie tylko dlatego, że rolnictwo jest czymś, co ludzie robili przez prawie całą swoją historię, ale dlatego, że naturalny porządek rzeczy nam to zaleca. Gospodarujemy, ponieważ jesteśmy istotami sezonowymi, a nasz osobisty udział w naturalnych „czarach" siania i zbiorów, śmierci i życia, zakorzenia nas jako istoty ludzkie w prawdzie rzeczywistości. Ci, którzy najbardziej skorzystają na dbaniu o nasze zasoby naturalne, to ci, których zadaniem jest ich uprawa. Rolnik ma fizyczny udział w przyszłym rozkwicie ziemi.

W tym sensie mnogość mniejszych gospodarstw, a nie kilka dużych, może być najlepszym zabezpieczeniem przed zanieczyszczeniem środowiska – zarówno ze strony tych, którzy nadużywają ziemi dla większego zysku, jak i tych, którzy próbują odpokutować za takie zachowanie nierozważnymi skrótami – ponieważ ich przetrwanie zależy od dobrych warunków środowiskowych, warunków niemożliwych do utrzymania w rolnictwie wielkotowarowym.

Rząd holenderski jest zdeterminowany

„Żadna liczba nowych wynalazków nie zastąpi nigdy potrzeby człowieka do uprawy ziemi ani potrzeby ziemi do bycia karmioną i nawożoną przez stada zwierząt. Rząd holenderski jest zdeterminowany, by sprawdzić, jak dalece może zbliżyć się do tej granicy. Być może powinien spojrzeć na Amerykę, aby odkryć, co dzieje się z narodem, który uregulował rolnictwo do granic możliwości" – ostrzega publicystka American Conservative.

Za tysiącami gospodarstw wyłączonych z eksploatacji i tysiącami rolników mających zostać pozbawionych pracy na mocy arbitralnej decyzji, kryje się mentalność, która mówi, że takie rzeczy są niepotrzebne. To ten odwieczny optymizm, wiara w pomysłowość człowieka, który potrafi znaleźć obejście, zastąpić zależność od słońca i deszczu nowoczesną technologią; krótko mówiąc, oszukać naturę. Ci, którzy czytali wielkie historie, wiedzą, jak to musi się skończyć.

Źródło: The American Conservative

Sposób, w jaki Floryda rozwiązała problem imigracji, spodobał się w wielu krajach Europy

Ciąg dalszy ze strony 1

umacniając swoją pozycję gwiazdy Partii Republikańskiej, z aspiracjami sięgającymi Białego Domu.

Pochylając się rzekomo nad dobrostanem nielegalnych przybyszów, w rzeczywistości pokazał, że Demokraci chcą, aby tysiące z nich „wjechało do kraju, pod warunkiem, że pozostaną oni w stanach i na obszarach południowych, które przypadkiem mają tendencję do głosowania na republikanów. W ten sposób udało mu się pokazać światu hipokryzję swoich politycznych rywali, a jednocześnie ostudzić proimigracyjny entuzjazm elit" – zauważa „La Gaceta"

Dla dobra przybyszów

Podobną metodę zastosowała premier Włoch Giorgia Meloni, odsyłając do jednego z francuskich portów statek organizacji pozarządowej Ocean Viking, przewożący 234 osoby w ramach unijnego mechanizmu relokacji. Chociaż Francuzi ostatecznie wydali zezwolenie na zacumowanie jednostki, stało się to kością niezgody między krajami.

Wygląda na to, że podobną taktykę przyjmie też szwedzkie miasto Göteborg, które postanowiło przenieść imigrantów do swoich najlepszych dzielnic. Socjaldemokratyczny radny Jonas Attenius w rozmowie z SVT podkreślał, że dotąd przedmieścia musiały wziąć na siebie odpowiedzialność, ale „teraz chcemy, aby nowi przybysze osiedlali się w dobrze prosperujących obszarach". To wszystko w ramach troski o dobro imigrantów. Ma im to pomóc w lepszej integracji. W tych bowiem dzielnicach mówi się głównie po szwedzku, w odróżnieniu od gett, gdzie się tłoczy większość nieeuropejskich przyjezdnych.

„Paradoksalnie (i w przeciwieństwie do przypadku amerykańskiego) tutaj to rzekomy konserwatysta Axel Josefsson narzeka i wskazuje, że stary system wtłaczania imigrantów do biednych dzielnic już się sprawdzał" – pisze „La Gaceta". Radny stwierdził, że zasada unikania umieszczania nowych przybyszów w najbardziej zagrożonych miejscach działa wystarczająco dobrze.

W gruncie rzeczy działa jednak przede wszystkim na korzyść bogatych Szwedów, tych pozwalających sobie na taki sam luksus, jak zamożni postępowcy z Martha's Vineyard, popierający masową imigrację. I to bez względu na to, czy jest legalna, czy nie. Oni dotychczas nie musieli bowiem ponosić tego żadnych konsekwencji.

Europa ma ból głowy

A jednak poważnym problemem Szwecji jest segregacja, która zamieniła biedne dzielnice w istne strefy zakazu. Spowodowało to, że politycy zaczęli brać pod uwagę zastosowanie modelu duńskiego. Oznaczałoby to ustalenie pułapu populacji imigrantów dla konkretnego miasta. Zapobiegłoby to powstawaniu państw w państwie. Pomysł ten poparł były Minister ds. integracji, socjaldemokrata Anders Ygeman.

Jest to spory problem w całej Europie Zachodniej. Francja dotychczas broniła swoich zamożnych postępowców, chętnych na przyjmowanie imigrantów w kraju. Pozwalała im pozostać na ich szczęśliwych „małych kulturowych wyspach", z dala od problemów związanych z uchodźcami. W kraju tworzyły się skupiska przybyszów przynoszące więcej szkody niż pożytku. Macron w związku z tym poparł pomysł przeniesienia imigrantów do względnie homogenicznych obszarów wiejskich. Pozwoli to uniknąć segregacji, a przy okazji rozwiąże problemy demograficzne na francuskiej wsi.

Prezydent został za to skrytykowany przez prawicę. Lider populistycznego Zjednoczenia Narodowego Jordan Bardella powiedział, że Macron „chce ukarać wieś, ponieważ rozmieszczenie imigracji we francuskich wioskach to także rozmieszczenie problemów, które z niej wynikają".

Źródło: Gaceta

USA muszą znieść „narzucone przez siebie ograniczenia", by realnie pomóc Ukrainie

Ciąg dalszy ze strony 1

jasne jest, że wojska napadniętego kraju pilnie potrzebują uzupełnienia sprzętu koniecznego do obrony ludności cywilnej, a także do działań na polu walki. „Nie rozumiem, dlaczego na przykład wprowadziliśmy ograniczenia dotyczące zasięgu rakiet. Dlaczego? Myślę, że mogłoby to służyć jako silny środek powstrzymujący rosyjskie ataki" – powiedział.

To są zbrodnie wojenne

Tymczasem urzędnicy amerykańscy uznali, że dostarczony już przez nich sprzęt, o wartości ponad 19 mld dolarów, jest skuteczny. Obawiają się też eskalacji konfliktu.

Rasmussen przypomina, że „tym, który wymusił wojnę, jest Putin". Zwraca uwagę na to, że Rosjanie obecnie naprawdę terroryzują ludność cywilną, mając nadzieję na załamanie morale Ukraińców. Twierdzi, że dzieje się tak od 10 października, czyli od czasu porażki wojsk rosyjskich w Charkowie i Chersoniu. Wtedy to Putin zmienił strategię i zaczął uderzać w cywilów.

Rosyjskie siły celują w infrastrukturę energetyczną Ukrainy, odcinając tym samym miliony ludzi od prądu, wody i ciepła. Nie działa ogrzewanie, a temperatury na Ukrainie ciągle spadają, sypnął też śnieg. Według byłego sekretarza generalnego NATO tak prowadzona wojna jest równoznaczna ze zbrodniami wojennymi.

Amerykańska strategia jest niedostosowana do „tej zmiany i tej eskalacji"

Także gen. Mark Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, nazwał celowe niszczenie cywilnej sieci energetycznej zbrodnią wojenną. „Wraz z nadejściem zimy rodziny zostaną bez prądu i co ważniejsze, bez ciepła. Zdolność ludzi do przetrwania będzie poważnie zagrożona, a cierpienie ludności ukraińskiej wzrośnie" – powiedział. Zauważył też, że taka sytuacja zmniejszy zdolność Ukrainy do opieki nad chorymi i starszymi.

Rasmussen uważa, że USA powinno odpowiedzieć na to, co robią Rosjanie „poprzez zniesienie wszelkich ograniczeń w dostawach broni". „Myślę, że nie ma sensu bardziej przejmować się ryzykiem eskalacji działań ukraińskich niż faktyczną eskalacją ze strony rosyjskiej" – powiedział.

Pentagon się na razie przygląda

Najwyraźniej Pentagon niezbyt wyraźnie dostrzega dramat cywilnej ludności Ukrainy. Chociaż urzędnicy twierdzą, że „przyglądają się wszystkim możliwym zdolnościom, które mogłyby pomóc Ukraińcom wytrzymać rosyjskie ataki", to nie idą za tym konkretne działania. Rzecznik Pentagonu gen. bryg. Patrick Ryder powiedział: „W tej chwili nie mamy planów dostarczenia baterii Patriot na Ukrainę, ale będziemy kontynuować tę dyskusję".

Amerykańskie baterie Patriot, które rozmieszczone byłyby na terenie Ukrainy, stałyby się celem rosyjskiej armii. Tak zareagowały władze Rosji na doniesienia CNN i agencji Reuters, że administracja prezydenta Joe Bidena finalizuje plan wysłania systemów obrony przeciwrakietowej Patriot na Ukrainę (Red.)

Anders Fogh Rasmussen przewodził NATO w latach 2009-2014. Obecnie prowadzi think tank Rasmussen Global. Jest też jednym z głównych twórców Kyiv Security Compact, czyli propozycji, nad którą pracował z szefem sztabu prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego, Andrijem Jermakiem. Zobowiązałaby ona ukraińskich sojuszników do długoterminowego partnerstwa na rzecz rozwoju wojskowości kraju.

Źródło: Washington Examiner

Swiat wielobiegunowy szansą na przyszłość?

Hiszpański portal ABC rozważa, na podstawie analiz zespołu BNY Mellon Global Real Return, możliwości, jakie stwarza obecna sytuacja geopolityczna.

Świat stał się wielobiegunowy. Ma na to wpływ obecne napięcie geopolityczne między USA, Chinami i Rosją. Jak wskazuje zespół BNY Mellon Global Real Return, oprócz przyspieszającej deglobalizacji, sytuacja ta najprawdopodobniej doprowadzi do zwiększenia zmienności i zagrozi zwrotom z ryzykownych aktywów. Mogą też powstać możliwości dla inwestorów w zakresie selekcji akcji.

Analitycy Real Return twierdzą, że lata spadku inflacji i niskich stóp procentowych działających, jako silny „wiatr w plecy" dla cen aktywów, prawdopodobnie się skończyły. Wraz z powrotem inflacji stopy zwrotu z akcji będą niższe. Wpływ na to ma też fakt, że banki centralne utraciły elastyczność w wydłużaniu cyklu gospodarczego poprzez obniżanie stóp. „Obecny punkt wyjścia jest znacznie mniej korzystny niż na początku okresu »Wielkiego Umiarkowania« w połowie lat 80. XX wieku, po globalnym kryzysie finansowym w 2009 r., czy po pandemii COVID-19 w 2020 r." – twierdzą. „Marże zysku są wysokie, wyceny rozciągnięte, a decydenci nie mają wyboru i muszą podnieść stopy, aby walczyć z inflacją. Prawdopodobnie więc znów, zadomowimy się w środowisku niższych stóp zwrotu z rynku akcji, wyższej zmienności oraz krótszych cykli hossy i bessy" – dodają.

Świat dwubiegunowy

Jak twierdzi zespół, znajdujemy się w wielobiegunowym świecie. Definiuje go intensywny i przedłużający się konflikt w Ukrainie oraz napięcia w regionie Azji i Pacyfiku. Te ostatnie zwiększyła sierpniowa wizyta na Tajwanie przewodniczącej amerykańskiej Izby Gmin Nancy Pelosi. Była ona pierwszym od 25 lat prominentnym politykiem z USA, który odwiedził ten kraj.

Dalszy ciąg na następnej stronie

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

16 grudnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 22(34)/2022*

Sukcesy Emmanuela Macrona w Stanach Zjednoczonych

Francuski dziennik „Le Figaro" analizuje niedawną podróż prezydenta Francji do USA. Co znaczącego udało mu się osiągnąć?

W ostatnim dniu swojej amerykańskiej podróży Emmanuel Macron, optymistycznie przyjmowany przez mieszkańców Nowego Orleanu, pozwolił sobie na konkluzję. „Dla mnie bilans zysków znacznie przekracza to, czego moglibyśmy się spodziewać. Osiągnęliśmy duży postęp w wielu dziedzinach: od energii jądrowej po przestrzeń kosmiczną i od Ukrainy po Afrykę" – powiedział do otaczających go dziennikarzy.

Francuski przywódca wyraził też jednak obawy, że ustawa administracji Bidena o ograniczeniu inflacji (IRA) spowoduje poważne zakłócenia konkurencji między obiema stronami Atlantyku. Powodem miałoby być masowe subsydiowanie amerykańskich sektorów transformacji energetycznej.

„Myślę, że fakt, iż możemy o tym swobodnie rozmawiać, z dużym szacunkiem i zaangażowaniem po obu stronach, znaleźć dobre rozwiązanie zarówno dla Amerykanów, jak i Europejczyków, zwłaszcza Francuzów, umożliwiające tworzenie tu miejsc pracy, jest prawdziwym krokiem naprzód" – powiedział Emmanuel Macron.

Co dokładnie zyskał w tej kwestii? Obietnicę sprawdzenia, w jaki sposób korekty w stosowaniu IRA pozwoliłyby Europie na uniknięcie jej szkodliwych konsekwencji. Jak stwierdził Joe Biden: „Nigdy nie zamierzaliśmy karać naszych europejskich sojuszników". Prezydent USA równocześnie przeprosił za zainwestowanie w gospodarkę około 360 mld dolarów. Niestety zmiana ustawy nie jest możliwa – przeciwna jest temu republikańska większość, która niedługo przejmie kontrolę nad Izbą Reprezentantów.

Wśród możliwych rozwiązań francuski Minister Gospodarki Bruno Le Maire wymienił „równe traktowanie" amerykańskich i europejskich komponentów do pojazdów elektrycznych. Serwis Politico wspomina natomiast o „dodatkowym opóźnieniu, aby umożliwić producentom samochodów spełnienie wymogu posiadania komponentów wyprodukowanych w USA". Jednak komisarz UE Thierry Breton wycofał się z zaplanowanego spotkania. Powodem był zbyt krótki czas w porządku obrad na tak złożoną kwestię.

„Celem jest, aby UE miała wyłączenia" – powiedział Emmanuel Macron. Tę kwestię należy uregulować najpóźniej do początku przyszłego roku. Zdaniem Bruno Le Maire'a polityczny sukces prezydenta Francji polega na uświadomieniu Bidenowi możliwych konsekwencji IRA dla europejskiego przemysłu osłabionego wojną w Ukrainie i cenami energii. Możliwe, że ewentualna groźba pęknięć w transatlantyckiej jedności w sprawie Ukrainy skłoniła USA do względnej otwartości na zmianę.

Ukraina to druga ważna kwestia, z której Emmanuel Macron może czuć się zadowolony. Obaj prezydenci są całkowicie zgodni co do poparcia dla Kijowa, ale mimo to wyznaczyli kurs na negocjacje. Odrzucają dyktowanie Wołodymyrowi Zełenskiemu czasu czy warunków i utrzymują twarde stanowisko w sprawie Krymu, którego aneksji przez Moskwę nigdy nie uznali. Jednak prezydent Biden publicznie poparł wysiłki swojego francuskiego odpowiednika, aby nie wykluczać porozumienia z Władimirem Putinem. Jak stwierdził przywódca USA, jest gotów do rozmów z rosyjskim prezydentem, jeżeli ten zechce zakończyć wojnę i wycofać wojska.

Prestiż związany z wizytą państwową nie jest najmniejszą korzyścią z amerykańskiej podróży. Uroczyste przyjęcie w Białym Domu, uroczysta kolacja z udziałem 300 gości – „Za tym wszystkim stoi strategia. Za całym tym lukrem stoi strategia" – pisze kąśliwie „New York Times". „Wśród wszystkich narzędzi, którymi dysponuje amerykański prezydent, wizyta państwowa pozwala mu sprawdzić, jak daleko pochlebstwa mogą go zaprowadzić wobec kluczowego sojusznika" – podkreśla. To także test, czy Joe Biden jest w stanie utrzymać tego sojusznika, kontynuując jednocześnie twardą politykę wobec Władimira Putina. Przychylność Amerykanów wzmacnia też europejski autorytet francuskiego przywódcy. Z korzyścią dla USA, które potrzebują silnej Europy u swego boku.

To, czego Emmanuel Macron nie osiągnął w Waszyngtonie, zamierza uzyskać od swoich partnerów w UE. „To do Europy należy dozbrojenie, dosłownie i w przenośni. Musimy być w stanie uporządkować nasz własny dom" – powiedział Bruno Le Maire. Dodał też, że Unia Europejska nie idzie „wystarczająco daleko lub szybko w sprawie reindustrializacji i strategicznej niezależności". Należy doprowadzić Stary Kontynent do przemysłowego przebudzenia. Świat i partnerzy gospodarczy Europy nie zrobią tu żadnej przysługi.

Emmanuel Macron oświadczył, że jego obowiązkiem jest „postawienie się w tej debacie jako Europejczyk, nie tylko w imieniu Francji, ale całego Kontynentu". To informacja dla pozostałych członków Unii. Należy postąpić tak, jak Amerykanie – zmobilizować 300 lub 400 mld euro, by przyciągnąć i zatrzymać w Europie przemysł przyszłości. Jeśli francuski prezydent przekona Berlin, to zasłuży na takie samo serdeczne powitanie, jakie zgotowali mu obywatele USA.

Źródło: Le Figaro

Świat wielobiegunowy szansą na przyszłość?

Dalszy ciąg z poprzedniej strony

Zespół Real Return uważa, że świat przechodzi od „gospodarki efektywności" do „gospodarki odporności". Zachodnie gospodarki starają się zwiększyć inwestycje w strategicznych obszarach, takich jak żywność, energia i obrona, przy jednoczesnym zmniejszeniu priorytetu kosztów i osiągnięciu maksymalnej wydajności. „Trend ten zapoczątkowała polityka »America First« byłego prezydenta Donalda Trumpa, ale przyspieszył wraz z pandemią COVID-19, a ostatnio z wojną w Ukrainie" – dodają specjaliści.

Ich zdaniem międzynarodowe firmy, które przyjęły globalizację, mogą zauważyć znaczący wpływ na ich łańcuchy dostaw, potrzeby w zakresie inwestycji kapitałowych i marże zysku. W wielu sektorach firmy w stylu „starej gospodarki" wymagają gwałtownego wzrostu inwestycji kapitałowych po latach chronicznego niedoinwestowania, a przejście na zieloną energię prawdopodobnie również będzie wymagało dodatkowych wydatków.

„W ciągu ostatnich 15 lat tanie pieniądze zalały takie obszary jak technologia. Jednak niewielu było zainteresowanych producentami towarów i kapitałochłonnymi przedsiębiorstwami. Wąskie gardła w łańcuchu dostaw, a także nierównowaga popytu i podaży prawdopodobnie doprowadzą do zmiany" – komentują analitycy. „Wyższe inwestycje kapitałowe przedsiębiorstw, w połączeniu ze zwiększonymi wydatkami rządowymi i bodźcami fiskalnymi, mają potencjał do stworzenia wyższego wzrostu, wyższej inflacji i wyższych stóp procentowych na całej krzywej" – dodają.

Czy warto kupować akcje, gdy na rynku są spadki?

Zespół zastanawia się, czy ta zmiana może być problemem dla ryzykownych aktywów. Ich zdaniem jest to bardzo prawdopodobne, ponieważ po trudnym okresie oczekiwane zwroty będą niższe. Specjaliści zauważają również, że w ciągu ostatnich czterech dekad „wszystko przez większość czasu szło w górę", a jeśli pojawiał się spadek koniunktury, był on postrzegany jako okazja do kupna. Tym razem to podejście może się nie sprawdzić, a okazję mogą wykorzystać raczej aktywni inwestorzy kapitałowi. Ważny będzie zarówno wybór akcji, jak i elastyczne podejście do wielu aktywów.

„Aktywa takie jak krótkoterminowe obligacje rządowe i złoto mogą się dobrze sprawdzić w tym środowisku. Pierwsze jako strategia »kup i trzymaj«, drugie zaś jako realna alternatywa majątkowa dla walut fiducjarnych (niemających oparcia w dobrach materialnych), którą nie da się łatwo manipulować" – pisze zespół. „Z drugiej strony, złoto ma potencjał, aby działać jako bufor przed ryzykiem geopolitycznym i osłabieniem walut fiducjarnych, będących w obecnym środowisku na pierwszym miejscu w umysłach inwestorów" – dodaje. Jak podsumowuje zespół: „Choć środowisko jest wymagające, to nie jest pozbawione możliwości dla menadżerów".

Źródło: ABC

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

16 grudnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 22(34)/2022*

Pułapka gospodarcza Chin zastawiona na Europę

W swoim artykule hiszpański dziennik „El Confidencial" dostrzega pewną bezradność Europy, balansującej między interesami politycznymi i gospodarczymi dwóch wielkich mocarstw. Czy Europa jest naiwna, żyje złudzeniami i brak jej świadomości obecnej sytuacji?

Drogi Unii Europejskiej oraz jej głównego sojusznika, czyli Stanów Zjednoczonych, zaczynają się rozchodzić. Jak poinformował serwis Politico, wysocy rangą urzędnicy europejscy oskarżyli USA o bogacenie się na wojnie kosztem Starego Kontynentu. Bruksela jest zaniepokojona wysokimi cenami energii, handlem bronią, amerykańską pomocą dla własnych firm i ofertami dla firm europejskich dotyczącymi zakładania tam sklepów. Niepokoi to także kluczowe ministerstwa w takich krajach jak Francja i Niemcy.

Chwilę europejskiej słabości dostrzegają też Chińczycy. Zdaniem Pekinu Europa, aby być niezależną, musi uświadomić sobie wartość sprawiedliwego i wolnego środowiska handlowego.

Amerykański protekcjonizm, który nasilił się wraz z wojną w Ukrainie, niesie ze sobą pokusę, by podobnie działała UE. Chiny za pośrednictwem swoich mediów proponują inne wyjście. Zauważa się tam, że Europa w wyniku wojny znalazła się między niedoborem energii a wysoką inflacją. A to może ją skłonić do obrania drogi USA opisywanej przez chińskie media jako „strategiczną pułapkę protekcjonizmu".

Europa, aby być niezależną, musi podążać za swoimi interesami i jeszcze bardziej uświadomić sobie „wartość sprawiedliwego i wolnego środowiska handlowego". Być może jest to czas, by UE jeszcze bardziej broniła i promowała globalizację.

To atrakcyjny przekaz szczególnie dla Niemiec oraz wielu ludzi, którzy chcieliby pozostać w starej epoce. Pokusa oparcia się deglobalizacji, do czego zachęcają Chiny, jest ogromna. Ma to też wymiar pragmatyczny. Relacje handlowe Europy z Pekinem są bardzo silne. Niemożliwe jest ich szybkie przerwanie, a w interesie kilku krajów leży utrzymanie tej korzystnej relacji. W Berlinie słowa Chin muszą wybrzmieć głośno i wyraźnie, zwłaszcza teraz, gdy utrata rosyjskiej energii zmusza je do poważnego wysiłku. Osłabienie relacji z Państwem Środka byłoby dodatkowym elementem presji, akurat w szczególnie trudnym momencie.

Stare argumenty, nowe cele

Nie dotyczy to jedynie Europy. Handel jako motor globalnego wzrostu, w obliczu kontrproduktywnego protekcjonizmu, jest korzystny dla krajów, które są ściśle związane z gospodarką Chin.

Argumenty Pekinu są w zasadzie takie same, jak używane wcześniej na Zachodzie: „Bariery mogą chronić krajowy przemysł na krótką metę, ale w dłuższej perspektywie przyniosą efekt odwrotny do zamierzonego. Stosowanie protekcjonizmu przez wszystkie kraje w celu ochrony własnych przedsiębiorstw doprowadzi światową gospodarkę do stagnacji". Można to podsumować stwierdzeniem, że „kierowana przez USA fala antyglobalizacyjna jest egoistyczna i nieodpowiedzialna wobec gospodarki światowej".

Jest to więc starcie pomiędzy USA, które starają się powstrzymać globalizację, a Chinami, które chcą ją utrzymać przy życiu jak najdłużej. Reżim Xi Jinpinga wie, jaki komunikat chciałaby usłyszeć Europa i chętnie go dostarcza.

Oba kraje mają nastawienie globalistyczne na zewnątrz i protekcjonistyczne wewnątrz.

To wszystko to rodzaj pułapki zastawionej przez obie strony. Chiny opowiadają się za globalizacją na zewnątrz, ale uparcie stosują środki protekcjonistyczne. To zarówno rozwój własnych firm z kapitałem państwowym oraz przewagą konkurencyjną, jaką im to daje, jak i zamknięcie swoich rynków dla amerykańskich firm technologicznych (Amazon i Google działają tam w szczątkowym wymiarze). To również kontrola własnego rynku w wielu sektorach czy średnio- i długoterminowe plany rozwoju, które realizują uparcie i z godnym uwagi sukcesem. Choć zewnętrze Chiny są globalistyczne, to wewnętrznie wydają się protekcjonistyczne.

Takie samo jest stanowisko USA. Najważniejszy jest dla nich rozwój wewnętrzny, ochrona swojego rynku i pomoc dla własnych firm. Równocześnie współgra to z chęcią ekspansji zewnętrznej, która działa poprzez sprzedaż energii i broni oraz rozwój amerykańskich firm technologicznych i finansowych.

W tym kontekście Europa jest przegrana. Nie dość, że USA wywierają presję za pomocą środków protekcjonistycznych i podwyżek stóp, to jeszcze tamtejsze spółki finansowe próbują wykorzystywać sytuację. Dzięki trudnościom ekonomicznym europejskich firm mogą je nabyć po stosunkowo niskiej cenie. Sprzyjają również inwestycjom zagranicznym w swoim kraju. Przykładowo hiszpańska Iberdrola zainwestuje w Stanach Zjednoczonych dużą część zysków osiągniętych w Europie. Chiny z kolei próbują jeszcze ściślej związać UE ze swoją orbitą handlową. To sposób na uzyskanie przewagi w swoim globalnym rozwoju, przy zastosowaniu rozsądnego dyskursu.

Unia Europejska znajduje się w centrum tego wszystkiego. Zdaniem hiszpańskiej gazety, należy zdecydować jaką rolę chcemy odgrywać w nowym scenariuszu. Czy zamierzamy się wzmocnić i czy chcemy pozostać obszarem zamożnym, o rozsądnym poziomie życia i wpływach na międzynarodowy porządek? Przy twierdzącej odpowiedzi nie ma innego wyjścia, jak tylko zapomnieć o przepisach, z którymi żyliśmy przez 30 lat. Tych, które budowały globalny świat. To wymaga podjęcia działań w nowej rzeczywistości i będzie potrzebowało czasu na zmiany, głównie dotyczące mentalności.

Źródło: El Confidencial

Szef sztabu polskich sił zbrojnych szuka sprzętu i amunicji

Rajmund Andrzejczak, Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, twierdzi, że Polska ma sporo pieniędzy na modernizację armii, a także na dalsze dostawy broni na Ukrainę. Problem w tym, że gdy światowe zapasy sprzętu wojskowego się kurczą, konieczny jest wydajny przemysł zbrojeniowy, mogący podnieść tempo produkcji i zaspokoić rosnący popyt – informuje serwis Breaking Defense.

gen. Rajmund Andrzejczak, Szef Sztabu Generalnego WP, źródło: www.gov.pl

Generał Rajmund Andrzejczak w wywiadzie dla Breaking Defense powiedział, że dysponował sporym budżetem, ale miał jednocześnie duże problemy z zakupem odpowiedniego sprzętu. „Wiemy, że celem strategicznym jest wspieranie Ukrainy. To jest cel strategiczny państwa, to była moja główna misja. Ale ze względu na konsekwencje i ryzyko, które podjęliśmy, niektóre sklepy są puste" – zaznaczył.

Nie tylko Polska martwi się o swoje zapasy. Wydaje się, że już teraz kilka europejskich krajów poszukuje na rynku zbrojeniowym podobnego sprzętu. Andrzejczak nie sprecyzował, czego dokładnie brakuje polskiej armii, ale za najważniejsze potrzeby uznał amunicję, precyzyjną amunicję kierowaną oraz podstawowe zaopatrzenie.

„Najsłabszym ogniwem w globalnej skali jest wydolność przemysłu" – powiedział. Jego zdaniem, aby sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu, firmy produkcyjne na całym świecie powinny wejść w „półwojenny tryb produkcyjny". „To nie jest kwestia pieniędzy. Ja mam pieniądze. Mam dużo pieniędzy. Naprawdę, proszę mi wierzyć, mam większe pieniądze niż mógłbym sobie wyobrazić w jakimkolwiek momencie mojego życia" – przyznał.

Niedawne zakupy polskiej armii pokazały, że generał mówi poważnie. Przez kilka ostatnich lat Polska wydała sporo środków na unowocześnienie swojego wojska, między innymi nabywając myśliwce F-35. Tempo modernizacji uległo jeszcze większemu przyspieszeniu przez ostatnie miesiące, od czasu, gdy Rosja zaatakowała Ukrainę. Polska nabyła śmigłowce AH-64 Apache oraz systemy rakietowe High Mobility Artillery, a także zakupiła czołgi, haubice i samoloty od Korei Południowej. Oprócz tego wcześniejszy zakup systemu obrony powietrznej Patriot został podwojony, a drony MQ-9 Reapers wzięto w leasing MQ-9 i nie są to wszystkie wydatki z ostatnich trzech kwartałów.

Andrzejczak zapytany o to, jakiego konkretnie sprzętu poszukuje obecnie polska armia, nie chciał podać konkretnej odpowiedzi, zaznaczył jednak, że „nie chodzi o zabawki". Jednocześnie generał podkreślił, że wojna na Ukrainie pokazała konieczność bardziej holistycznego myślenia, zarówno w ramach narodowych sił Polski, jak i NATO. Należy zastanowić się nad środkami potrzebnymi do pokonania Rosji oraz nad przebiegiem ewentualnej konfrontacji w realiach, w których każdy dysponuje smartfonem, informacja (oraz dezinformacja) rozprzestrzenia się błyskawicznie dzięki mediom społecznościowym, a nawet amatorskie drony mogą posłużyć do celów bojowych.

„To, czego nam brakuje i co podkreślam – i naciskam moich oficerów, ale też uprzejmie proszę każdego, w tym ekspertów, think tanki i instytucje – to rzeczowa rozmowa o strategii. Bo musimy być pewni, że nasza strategia będzie wystarczająca" – podkreślił Andrzejczak. Zdradził, że niedawno w Polsce zakończyły się prace nad nową niejawną strategią obronną, przechodzącą aktualnie przez ostateczny proces zatwierdzania.

„Strategia nie lubi Facebooka, strategia nie lubi Twittera i innych mediów społecznościowych. I musimy się dwa razy zastanowić: czy mamy odpowiednią strategię jako NATO, jako region, jako flanka, jako kraj?" – powiedział szef sztabu.

Ukraina wykorzystuje do obrony stare systemy rakietowe i czołgi radzieckiej produkcji, tanie drony oraz komercyjne technologie, między innymi system satelitarny Starlink. To uruchomiło debatę na temat tego, czy platformy wojskowe wysokiej klasy faktycznie są użyteczne na współczesnych polach bitew. Andrzejczak przestrzega jednak przed wyciąganiem pochopnych wniosków na temat przebiegu tego konfliktu. „Czołgi są zawsze niezbędnymi aktywami" – uważa, a w połączeniu z „nowymi technologiami, takimi jak cybernetyka, przestrzeń kosmiczna, ogień dalekiego zasięgu, sztuczna inteligencja", mogą zapewnić „przytłaczającą przewagę".

Szef sztabu polskich sił zbrojnych podkreślił jednak, że rosyjskie straty w konflikcie z Ukrainą nie biorą się z ich deficytu technologicznego. U Rosjan zawodzi połączenie broni, wywiadu i dowodzenia. Rosyjska armia przeważa liczebnością i nowoczesnością nad ukraińską – i to w znacznej mierze – ale ma problemy z synchronizacją wojsk lądowych i powietrznych, ponosi poważne porażki logistyczne, a na dodatek straciła w walkach kilkunastu generałów.

Z drugiej strony Ukraina spodziewała się eskalacji rosyjskiej agresji od 2014 r., czyli od anektowania Krymu. I przygotowywała się na nią, szkoląc oficerów i podoficerów. Co więcej, ukraińskich przywódców politycznych uczono – „na uniwersyteckim poziomie" – jak skutecznie wykorzystywać media społecznościowe do przeciwdziałania rosyjskiej propagandzie i dezinformacji.

„Myślę, że gen. Walerij Gierasimow przygotowywał armię do zupełnie innej operacji" – powiedział Andrzejczak o najwyższym dowódcy armii rosyjskiej.

Źródło: Breaking Defense

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

16 grudnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 22(34)/2022*

Nowy Plan Marshalla?

Odbudowa Ukrainy to dobra inwestycja

Dziewięć miesięcy po tym, jak Rosja najechała na ich kraj, Ukraińcy odbijają swoje terytorium i dają całemu narodowi nadzieję na zwycięstwo. Ale jeśli chodzi o długoterminowy pokój i dobrobyt, militarne zwycięstwo byłoby tylko końcem pierwszej fazy. Kolejny etap – odbudowa – będzie znacznie dłuższy i trudniejszy, będzie także wymagał ciągłego i szerokiego wsparcia gospodarczego ze strony przyjaciół i sojuszników – pisze hiszpański dziennik „El Economista".

Gospodarka Ukrainy ma się skurczyć do końca roku o jedną trzecią. Wojna wypędziła ludzi z ich domów i miejsc pracy. Około 13 mln cywilów zostało przesiedlonych, a 700 tys. Ukraińców (głównie młodych mężczyzn) odeszło z pracy, aby służyć w siłach zbrojnych. Zniszczone zostały fabryki i domy. Kijowska Szkoła Ekonomii szacuje straty infrastrukturalne Ukrainy na 115 mld dolarów.

Pożywka dla niestabilności politycznej

Niektóre z tych problemów zostaną rozwiązane w sposób naturalny po zakończeniu wojny, ale większość niestety nie. Wiele osób wysiedlonych będzie bezdomnych i pozbawionych pracy, a pełna odbudowa mieszkań, szkół, szpitali i całej infrastruktury, niezbędnej do rozpoczęcia odbudowy gospodarczej kraju, pociągnie za sobą ogromne koszty. Ukraińscy ekonomiści szacują, że odbudowa utraconej infrastruktury będzie kosztować co najmniej 200 mld dolarów, a im dłużej będzie trwała wojna, tym rachunek ten będzie wyższy.

Kwoty niniejsze stanowią równowartość przedwojennego PKB Ukrainy. Biorąc to pod uwagę, nie można oczekiwać, że Ukraińcy sami zapłacą za odbudowę. Europejscy sąsiedzi Ukrainy będą musieli znacząco zaangażować się finansowo, aby pomóc w odbudowie jej gospodarki. Na szczęście te działania będą także służyły ich własnym interesom. Niestabilność gospodarcza w regionie jest pożywką dla niestabilności politycznej. Niestabilna Ukraina nie może być silnym sojusznikiem.

Przywódcy USA dostrzegli to po II wojnie światowej, kiedy to w ramach planu Marshalla przekazano około 130 mld dolarów (w dolarach z 2010 r.) na odbudowę Europy. Podobnie jak dziś na Ukrainie, tak wtedy na całym Kontynencie infrastruktura (koleje, instalacje elektryczne, porty, drogi, mosty i lotniska) została poważnie uszkodzona przez bombardowania, a zakłócenia w produkcji rolnej i transporcie oznaczały, że wielu ludziom groził głód.

Kilka ważnych lekcji na dziś

Plan Marshalla miał dwa cele: ożywienie gospodarcze w Europie i powstrzymanie Związku Radzieckiego. Stabilizacja gospodarcza Europy była postrzegana jako warunek konieczny do stworzenia wiarygodnych instytucji, które sprzyjałyby wzrostowi dochodów i utrwaleniu liberalnej demokracji.

Plan okazał się wielkim sukcesem. We Włoszech stymulował wzrost gospodarczy i sprzyjał rozwojowi przemysłu poprzez szybką budowę infrastruktury, tworząc warunki dla silnej ekspansji gospodarczej w kolejnych powojennych dekadach. W Niemczech doprowadził do powstania nowej polityki przemysłowej, ożywienia i wzrostu gospodarczego. A w całej Europie Zachodniej odegrał kluczową rolę w przywróceniu stabilności finansowej, pobudzeniu liberalizacji gospodarczej i (umiarkowanym) złagodzeniu niedoborów zasobów.

Do lat 60. XX wieku 17 krajów, które przyjęły pomoc – Austria, Belgia, Dania, Francja, Niemcy Zachodnie, Grecja, Islandia, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Holandia, Norwegia, Portugalia, Szwecja, Szwajcaria, Turcja i Wielka Brytania – odbudowały się gospodarczo i stały się stabilnymi demokracjami liberalnymi.

W ocenie autora analizy w „El Economista" plan Marshalla daje kilka ważnych lekcji na dziś. Po pierwsze, duże zastrzyki pieniędzy na odbudowę infrastruktury mogą przynieść duże korzyści. Transfery w ramach planu Marshalla w latach 1948-1952 wyniosły w krajach-odbiorcach średnio nie mniej niż 3 proc. PKB. Ponieważ jednak zastrzyki finansowe były skoncentrowane w fazie początkowej, pomogły one w stymulowaniu trwałego wzrostu. Na przykład Włochy otrzymały w 1948 r. pomoc odpowiadającą 11,5 proc. swojego PKB.

Trzeba planować masowy zastrzyk pomocy

Po drugie, choć znaczący pakiet pomocy i odbudowy dla Ukrainy będzie kosztowny, jest całkowicie wykonalny. W 1948 r. PKB Stanów Zjednoczonych był 3,5 razy większy niż Francji, Niemiec i Włoch razem wziętych. Dziś PKB krajów UE jest ponad 85 razy większy niż Ukrainy.

Istnieją oczywiście istotne różnice między Europą Zachodnią po II wojnie światowej a dzisiejszą Ukrainą, Rosją i Białorusią. Beneficjenci planu Marshalla należeli wówczas do najbardziej zaawansowanych gospodarek świata, podczas gdy byłe republiki radzieckie, jeszcze przed wojną borykały się z fundamentalnymi i systemowymi problemami.

„13 razy w ciągu 30 lat między 1990 a 2020 r. Ukraina odnotowała ujemny wzrost PKB. Te warunki wyjściowe sugerują, że stabilizacja gospodarcza będzie trwała znacznie dłużej niż w Europie po II wojnie światowej" – przypomina hiszpański dziennik. „Ale tym bardziej trzeba już teraz planować masowy zastrzyk pomocy" – dodaje.

Po trzecie, czasem opłaca się być hojnym zarówno dla byłych wrogów, jak i przyjaciół. Plan Marshalla skierował duże sumy do krajów, które w czasie wojny walczyły przeciwko Stanom Zjednoczonym. Rozumiano, że trwała stabilizacja w państwach alianckich, będzie wymagała stabilizacji w szerszym sąsiedztwie. Najwięcej otrzymała Francja, rządzona częściowo przez rząd Vichy (20,8 proc.), następnie Niemcy Zachodnie (10,9 proc.) i Włochy (10,6 proc.).

Pakiet pomocowy o wartości 870 mld dolarów

Konsekwencją wniosków z przeszłości jest na dziś to, że w odpowiednich warunkach politycznych i strategicznych inwestowanie w gospodarkę rosyjską i białoruską może przynieść długoterminowe korzyści geopolityczne. Jest to nadal przystępna cena w porównaniu z planem Marshalla, ponieważ PKB UE jest ponad osiem razy większy niż PKB Ukrainy, Rosji i Białorusi razem wziętych.

Niezależnie od tego, czy Zachód udzieli pomocy Ukrainie, czy też obejmie nią również Rosję i Białoruś, łączne koszty odbudowy przekroczą bezpośrednie koszty spowodowane wojną. W sumie plan Marshalla stanowił 5 proc. amerykańskiego PKB w 1948 r. Gdyby kraje UE wydały 5 proc. swojego łącznego PKB na powojenną odbudowę, mogłyby sfinansować pakiet pomocowy o wartości 870 mld dolarów. Wkład USA mógłby dodatkowo zwiększyć pakiet pomocy.

Ostatecznie długoterminowy sukces Ukrainy będzie zależał od zaangażowania jej sojuszników w odbudowę gospodarczą. Bez trwałego wsparcia gospodarczego i przemyślanego wdrożenia, każdy pokój osiągnięty dzięki zwycięstwu militarnemu będzie prawdopodobnie krótkotrwały.

Źródło: El Economista

Czy ten dług uda się zmniejszyć?

Jak doszło do tego, że w Unii Europejskiej jest tyle państw, z tak wielkim poziomem zadłużenia? To kwestia, która wymaga wyjaśnienia, bo patrząc na przepisy, taka sytuacja w ogóle nie powinna mieć miejsca. A jednak ma, jak zatem do tego doszło?

Formalnie sprawy się mają tak, aby wejść do strefy euro, trzeba spełnić m.in. tzw. kryteria fiskalne. Oznacza to, że przyszły członek obszaru wspólnej waluty powinien mieć deficyt sektora general government na poziomie nie wyższym niż 3 proc. w relacji do produktu krajowego brutto, natomiast dług publiczni nie większy niż 60 proc., także w odniesieniu do PKB. Wszystkie państwa Unii Europejskiej powinny pilnować tych wskaźników, tak aby nie zostać objętym procedurą nadmiernego deficytu, która wynika wprost z przepisu traktatowego, dokładnie zaś z art. 126 Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Gdyby zatem trzymać się litery prawa, w Unii Europejskiej powinniśmy mieć do czynienia z całkiem przyzwoitą sytuacją fiskalną.

Tyle teoria. A jak to wygląda w praktyce? No cóż, tu już sprawy mają się dużo gorzej. Oczywiście, od razu na myśl przychodzi kazus Grecji, państwa, o którym zrobiło się naprawdę głośno w drugiej dekadzie XXI wieku, właśnie w związku z problemem zadłużenia. Kwestia zbyt wysokiego długu nie dotyczy jednak tylko Grecji. Jest znacznie więcej państw, które zmagają się z nadmiernymi wydatkami, generującymi wzrost deficytu i w konsekwencji długu publicznego. Poważne trudności z trzymaniem wydatków w ryzach mają głównie państwa południa Europy. Najgorzej jest oczywiście we wspomnianej wcześniej Grecji, między 2001 a 2021 rokiem jej dług publiczny wzrósł o bagatela 87,4 pkt procentowego. O ile na początku wieku wynosił on 107 proc., o tyle pod koniec drogiej dekady przekraczał nawet 200 proc. No ale nie ma co skupiać się tylko na Helladzie, popatrzmy zatem także na inne przypadki, które obrazują to samo zjawisko. O niemal 70 pkt proc. wzrosło w analizowanym okresie zadłużenie Portugalii, o 64 pkt proc. zadłużenie Hiszpanii, Francuzi zaliczyli wzrost długu publicznego o ponad 50 pkt proc. Ogólnie na 27 obecnych członków UE, aż u 23 zanotowano wzrost skumulowanego zadłużenia, u wielu z nich był to wzrost znaczący.

W tym kontekście powtórzyć trzeba pytanie, jak do tego doszło? Co jasne, państwa członkowskie stosowały ekspansję fiskalną, zwiększając skalę wydatków publicznych, na których pokrycie trzeba była pożyczać pieniądze. Hiszpanie zwiększyli udział wydatków sektora instytucji rządowych i samorządowych w relacji do PKB między 2001 a 2021 rokiem o niemal 32 proc., i to największy wzrost w całej Unii Europejskiej. Trzecie miejsce w stawce państw z największym przyrostem tego wskaźnika zajmuje Grecja, tam wydatki publiczne wzrosły o 25 proc. w relacji do PKB. Ogólnie, mniejszy bądź (przeważnie) większy wzrost wydatków w okresie od początku XXI wieku do 2021 roku zanotowało 21 państw z obecnego składu Unii Europejskiej. Ostatnie dekady były zatem czasem, w którym finansowanie długiem rosnących wydatków państwa było regułą. Istotne jest to, że na taki stan rzeczy nie reagowały unijne instytucje, mimo iż miały taki obowiązek.

Czemu tego nie robiły? Po pierwsze, celem było to, aby jak najwięcej państw weszło do strefy euro, gdyby patrzeć na kryteria fiskalne do budowy eurolandu w pierwotnym składzie mogłoby w ogóle nie dojść, stąd nie zwracano na to aż takiej uwagi. Potem, kiedy eurozona już powstała, dużo łatwiej było się zadłużać państwom do niej należącym, wszyscy bowiem zyskiwali niejako wiarygodność kredytową Niemiec. To sprawiało, że pieniądz na rynku finansowym był tańszy, a zatem dług rósł lawinowo. Komisja Europejska nie reagowała, bo musiałby dobrać się do skóry także takim państwom jak Niemcy czy Francja. Najpewniej brukselska wierchuszka nie chciała tego robić i w efekcie nie podejmowano skutecznych działań, aby redukować narastający problem. Kiedy zaś przyszedł kryzys fiskalny na początku drugiej dekady XXI wieku, było już za późno.

Obecnie poziom zadłużenia jest tak duży, że jego redukcja do poziomów wymaganych przez unijne prawo wydaje się niemal niemożliwa. Dodatkowo nawet najbardziej zadłużone państwa Unii, będące jednocześnie członkami strefy euro, korzystać mogą z tego, że Europejski Bank Centralny skupuje ich papiery na rynku wtórnym. W efekcie są one wciąż stosunkowo nisko oprocentowane, a popyt na nie zapewniają programy EBC. Ostatecznie zatem, jedyne co pozostaje, to pogodzić się z sytuacją i liczyć na to, że jakoś to będzie. Wiele jednak wskazuje na to, że sielanka z rosnącym długiem kiedyś się skończy. Pytanie, co wtedy się stanie?

Kamil Goral

Lewica niszczy amerykańskie wojsko

Armia Stanów Zjednoczonych, uważana za najpotężniejszą na świecie, ma poważne problemy. Przez zastosowane inżynierii społecznej w postaci szalonych teorii „woke culture" traci swoje zdolności bojowe – alarmuje hiszpańska „La Gaceta".

Wynika tak z raportu ogłoszonego przez republikańskich ustawodawców z Izby Reprezentantów. Autorami raportu zatytułowanego „Woke Warriors" są: senator z Florydy Marco Rubio i kongresmen z Teksasu Chipa Roya.

Napisali w nim między innymi: „Szczególnym celem naszej armii jest »zapewnienie wspólnej obrony« naszego narodu. Nie można jej zamienić w lewicowy eksperyment społeczny. Nie można jej używać, jako pałki przeciwko samym Stanom Zjednoczonym. Niestety, prezydent Joe Biden i jego administracja osłabiają amerykańskich żołnierzy, skupiając się na cnocie »woke«".

Dokument analizuje szczegółowe przypadki lewicowej indoktrynacji amerykańskiego wojska – w tym na przykład inicjatywę sekretarza obrony Lloyda Austina, który niedługo po objęciu urzędu podpisał notatkę dotyczącą „rasizmu" żołnierzy. Zmuszała ona pracowników Departamentu Obrony – zarówno wojskowych, jak i cywilnych – do poświęcenia całego dna na omówienie problemu występowania „ekstremistycznych" stanowisk w armii. Według Pentagonu tego typu „ekstremistyczne stanowiska" pojawiły się w mniej więcej stu przypadkach… w liczącej ponad 2,1 mln członków armii!

Inny pomysł wysnuł Bishop Garrison, aktualny doradca Austina w sprawach kapitału ludzkiego, różnorodności, sprawiedliwości i integracji. Promował on „Projekt 1619", nową wersję amerykańskiej historii, według której kraj ten został założony na niewolnictwie i rasistowskim wyzysku. Takiej zafałszowanej wersji amerykańskiej historii nauczano w szkołach na terenie całego kraju – a w niektórych uczy się jej do dziś.

Jeszcze innym przypadkiem opisanym w raporcie jest książka Kelisy Wing, dyrektor ds. różnorodności, sprawiedliwości i integracji w Agencji Edukacyjnej Departamentu Obrony. „Wing napisała książkę, aby nauczyć białe dzieci, że mają przywilej i że » biały przywilej krzywdzi wielu ludzi«. Do książki dołączone jest ćwiczenie, które ma pomóc dzieciom zrozumieć »jakie części mojej tożsamości dały mi przywileje«".

Raport nie ogranicza się jednak do wymieniania podobnych absurdów. Osobny rozdział poświęca na omówienie kwestii nierówności płci. Amerykańska armia – tak, jak armie innych krajów na całym świecie – zwykła odrzucać kandydatów, którzy nie byli w stanie spełnić stawianych przed nimi wymagań fizycznych i psychologicznych. Dlatego do wojska nie dostawali się ludzie, z niektórymi alergiami, trudnościami w nauce, cierpiący na choroby skórne albo depresję. Działo się tak, ze względu na konieczność utrzymania sprawności i zdolności bojowej. Ale twórcy raportu zauważyli, że obecnie nie tylko akceptuje się, ale nawet „dumnie promuje i celebruje" takie procedury medyczne, jak zmiana płci, po której rekonwalescencja trwa miesiącami.

Nieograniczony dostęp do służby wojskowej dla osób transpłciowych został wprowadzony przez Departament Obrony w 2016 r., za kadencji prezydenta Baracka Obamy. Raport republikanów przekonuje jednak, że osoby cierpiące na dysforię płciową mają problemy ze zdrowiem psychicznym, często cierpią na poważne zaburzenia lękowe i osiem razy częściej popełniają samobójstwa. „Świat jest niebezpiecznym miejscem, a szaleństwo administracji Bidena powoduje erozję naszego największego źródła bezpieczeństwa" – konkluduje smutno raport.

Źródło: La Gaceta

Nowe bezpieczeństwo energetyczne w Europie

Unia Europejska postawiła na bezprecedensowe rozwiązania, które zwiększyły jej niezależność od rosyjskich dostaw energii. „El Confidencial" przeanalizował cztery lekcje, jakie kraje członkowskie wyciągnęły w obszarze bezpieczeństwa energetycznego.

W 2022 r. Unia Europejska drastycznie zmieniła podejście do pozyskiwania surowców energetycznych. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę kraje członkowskie podjęły szereg działań zmierzających do zmniejszenia zależności energetycznej od Rosji. Podpisano 56 nowych umów energetycznych z innymi państwami – część z nich na poziomie poszczególnych krajów członkowskich, część na poziomie całej Unii. Dziewięć umów podpisała Komisja Europejska, a Niemcy i Włochy odpowiednio dziewięć i osiem. Spośród 27 państw członkowskich aż 18 podpisało w tym roku przynajmniej jedną nową umowę dotyczącą dostaw energii. W poprzednich latach ruch na tym polu był raczej nikły.

To duża zmiana, ale nadal na Europejczyków czyhają zagrożenia, które warto uwzględnić przy następnych wzmocnieniach bezpieczeństwa energetycznego.

Z jednej zależności w drugą (lub kilka kolejnych)

Kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, państwa Unii Europejskiej zrozumiały, jak bardzo uzależnione są od rosyjskiego gazu i jak mocno ogranicza to ich reakcje na zaistniałą sytuację. Wszyscy teraz szukają nowych dostawców, ale w tych poszukiwaniach warto zachować czujność, by wydostając się z jednej zależności, nie popaść w kolejną.

Unia Europejska (jako całość i jako poszczególne państwa) szuka teraz wielu dostawców, by uniknąć powtarzania wcześniejszego scenariusza. Powoli przestawiają się też z gazu ziemnego transportowanego rurociągami na sprowadzanie skroplonego gazu ziemnego (LNG). Umożliwia to powiększenie puli potencjalnych dostawców.

Faktyczna elastyczność tych rozwiązań zależy jednak od szczegółów podpisywanych umów, a te zazwyczaj nie są jawne. Nie wiemy na przykład czy Niemcy zobowiązały się umową do przyjęcia konkretnej ilości gazu z Kataru albo, czy pojawiły się naciski ze strony dostawców LNG, żeby europejscy konsumenci podpisywali umowy długoterminowe.

W niektórych ogłoszonych umowach pojawiają się kłopotliwe kwestie. Potencjalne ograniczenia wiążą się na przykład z importem azerskiego gazu przez nowy gazociąg albo sprowadzaniem LNG głównie z Kataru. Sytuacja, w której znalazła się Europa – polegająca na konieczności zabezpieczenia dużych ilości LNG, bądź gazu w bardzo krótkim czasie – pogłębia jej zależność od takich eksporterów jak Algieria, Nigeria czy Egipt, a także Norwegia i USA, które zajęły miejsce Rosji, jako główni dostawcy gazu na Stary Kontynent.

Wydawałoby się, że import surowców energetycznych ze Stanów Zjednoczonych jest bezpieczny, bo Zachód utrzymuje podobne nastawienie w kwestii wojny na Ukrainie, ale tarcia pojawiają się na innych polach – na przykład relacji z Chinami czy podziału kosztów związanych z pomocą dla Ukrainy. Unia Europejska ma także trudności ze wspieraniem branż wykorzystujących zieloną energię w takim zakresie, jak robi to USA w ramach ich pakietu Inflation Reduction Act. Jeśli w 2025 r. w amerykańskich wyborach prezydenckich zwycięży republikański kandydat, problemy te mogą być jeszcze większe.

Powrót do Gazpromu?

Unia Europejska od początku roku prowadzi intensywne działania, by uniezależnić się od rosyjskiego gazu. Tylko Węgry nie poddały się temu trendowi, przeciwnie – podpisały z Gazpromem kolejne umowy.

Bułgaria, łącząc się gazociągiem z Grecją, może uniezależnić się od gazu sprowadzanego z Rosji, ale klimat polityczny w tym kraju jest na tyle niepewny, że scenariusz powrotu do rosyjskiego gazu pozostaje możliwy.

Z zastąpieniem rosyjskiego gazu problem mają europejskie kraje bez dostępu do morza – Czechy, Słowacja oraz Austria. Także intensywnie uprzemysłowione Niemcy napotykają trudności w tym zakresie. Jeżeli trudności ze znalezieniem innych dostawców się utrzymają, możliwe, że przeważą głosy nawołujące do powrotu, do rosyjskich rurociągów. Takie tendencje widzimy już w Czechach, gdzie pojawiły się antyrządowe protesty. Wydaje się, że najwięcej zależy tu od Niemiec – to znaczy od tego, czy uda im się zgromadzić wystarczającą ilość alternatywnych dostawców oraz od tego, czy będą faktycznie skłonne, aby część paliw przekazać swoim sąsiadom.

Czy nowa infrastruktura się opłaci?

Kwestie bezpieczeństwa energetycznego w Europie zmotywowały wiele państw do sporych inwestycji we własną infrastrukturę. Ze wspomnianych wcześniej 56 umów, aż 33 wpłyną na infrastrukturę. Znakomitym przykładem jest budowa rurociągu Południowego Korytarza Gazowego umożliwiającego import azerskiego gazu. Inne rurociągi, które zostały już zbudowane (np. między Algierią a Hiszpanią), mogą zostać rozbudowane, aby większa przepustowość odpowiadała rosnącemu popytowi.

Są też projekty rozbudowy infrastruktury wewnątrz Unii. Na przykład interkonektor łączący Grecję z Bułgarią albo powiększenie chorwackiego rurociągu Adria. Nowy rurociąg miałby połączyć Barcelonę z Marsylią, a terminale LNG umożliwiłyby połączenie Niemiec i Francji z Irlandią i Estonią. To spore inwestycje, które zwiększyłyby europejską integrację, jednocześnie poprawiając suwerenność energetyczną regionu.

Problemem są jednak koszty i transformacja energetyczna w stronę zielonej energii. Mamy inflację i presja publiczna na cięcie wydatków jest spora. A budowa nowej infrastruktury gazowej utrudni odejście od energetyki opartej na paliwach kopalnych. Entuzjaści budowania argumentują jednak, że postawienie nowoczesnej infrastruktury gazowej i naftowej umożliwi jej późniejsze wykorzystanie przy transporcie zielonego wodoru. Nie jest jednak pewne, czy przejście na energię wodorową będzie rentowne.

Energia jądrowa: zbliżający się powrót do trudnej dyskusji

Energia jądrowa mogłaby znacząco przyspieszyć dekarbonizację krajów Unii Europejskiej, ale zagadnienie to bardzo dzieli kraje członkowskie. Jej przeciwnicy podkreślają problem konieczności składania odpadów jądrowych, dostaw surowców oraz ewentualnej zawodności tego rozwiązania. Zwłaszcza ostatni argument stał się wyjątkowo żywy po tym, jak Francja musiała pozamykać wiele reaktorów jądrowych w wyniku problemów z ich konserwacją.

Jednak kłopoty z energią w obecnym roku skłoniły państwa do ponownego rozważenia zajmowanych stanowisk. Niemcy, Belgia i Holandia wydłużyły planowany czas eksploatacji swoich elektrowni jądrowych. Polska ruszyła z planem budowy pierwszej elektrowni atomowej, mówi się o perspektywach powstania kolejnych. O inwestycjach jądrowych rozmawiają też Łotysze i Szwedzi. Kiedy Szwecja obejmie prezydenturę unijną wiosną przyszłego roku, możemy spodziewać się bardziej intensywnej dyskusji nad zagadnieniem europejskiej energetyki jądrowej na szczeblu unijnym.

Zwiększenie akceptacji oraz dotacji finansowych dla energii jądrowej mogłoby osłabić poparcie i wydatki na odnawialne źródła energii. Obie strategie dekarbonizacji mają swoje zalety i możemy się spodziewać powrotu do gorącej debaty między ich zwolennikami.

Potrzeba ogólnoeuropejskiego wysiłku

Czy Unia Europejska może doczekać wiosny 2023 r. bez poważnych kryzysów energetycznych? Wydaje się, że są na to szanse. Poziom magazynów gazu jest zadowalający, Międzynarodowa Agencja Energii szacuje, że są one zapełnione w ponad 95 proc. Jesień była umiarkowanie ciepła, ale nadchodząca zima może być oczywiście wyzwaniem. Niemniej widoczna stała się gotowość do unijnej współpracy w osiąganiu niezależności energetycznej. By zacieśnić współpracę w tym zakresie niezbędna będzie jednak przejrzystość podpisywanych umów i dostęp do szczegółów ze strony innych państw członkowskich i Brukseli, co może być problematyczne, ale zostanie przetestowane podczas obrad Rady Europejskiej, ponieważ Komisja Europejska wystąpiła z propozycją zwiększenia koordynacji zakupów gazu ziemnego.

Unia i jej członkowie muszą poważnie zastanowić się nad strategiczną perspektywą wspólnego (i indywidualnego) bezpieczeństwa energetycznego. Konieczne jest przeciwdziałanie nadmiernemu uzależnieniu od nowych podmiotów. Istotne jest też utrzymanie procesów dekarbonizacji na odpowiednim poziomie poprzez intensywny rozwój niskoemisyjnej infrastruktury energetycznej. Jeśli to się uda, zielona energia stanie się ważnym elementem unijnego koszyka energetycznego.

Już teraz widzimy doskonałe przykłady współpracy energetycznej w ramach Unii. Jak choćby pakt w sprawie morskiej energii wiatrowej na Morzu Północnym, który obejmuje Niemcy, Holandię, Danię i Belgię. Podobny projekt powstał nad Morzem Bałtyckim i angażuje osiem krajów unijnych. Są to działania, które mogą być skalowalne i objąć całą Unię. Klimat ekonomiczny niestety nie jest sprzyjający, ale porzucenie dekarbonizacji podważyłoby wiarygodność Unii Europejskiej w skali globalnej i załamało paryski konsensus klimatyczny.

Źródło: El Confidencial

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

16 grudnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 22(34)/2022*

Inflacja w Hiszpanii spada szybciej niż w pozostałej części Europy

Hiszpańska inflacja wyhamowuje szybciej niż się spodziewano. Wskaźnik CPI w tym kraju spadł dużo poniżej średniej krajów ze strefy euro, gdzie przekracza 10 proc. Wielu polityków chciałoby sobie przypisać ten sukces, lecz wynika on w dużej mierze z silnego uzależnienia hiszpańskiego CPI od cen energii elektrycznej. To przez sposób obliczania hiszpańskiego CPI wzrost cen był tam początkowo szybszy niż w Europie, ale teraz znajduje się poniżej średniej – informuje „El Economista".

Hiszpański CPI – czyli wskaźnik cen towarów i usług konsumpcyjnych – zaczął spadać już w sierpniu i przez kolejne miesiące utrzymał spadkową tendencję, by w listopadzie spać po raz kolejny. Hiszpański Narodowy Instytut Statystyczny opublikował dane wyprzedzające, z których wynika, że inflacja w listopadzie spadła do 6,8 proc. (w październiku wynosiła 7,3 proc.). Inflacja bazowa zaliczyła jednak wzrost, choć tylko o jedną dziesiątą punktu procentowego. Obecnie wynosi 6,3 proc., a we wrześniu i październiku była na poziomie 6,2 proc. Średni wskaźnik CPI dla całej strefy euro przekroczył natomiast 10 proc., a w Niemczech – 11 proc.

Bardzo szybko zmniejsza się różnica między headline CPI a core (bazowym) CPI. Headline CPI to wskaźnik ulegający szybszym zmianom, które po znaczących wzrostach trwających przez parę miesięcy, przeniosły się na mniej zmienne elementy koszyka zakupowego, składające się na core CPI (nie ma wśród nich na przykład świeżej żywności czy energii). Spadek bazowego CPI może jednak przyczynić się teraz do powolnego wzrostu bazowego CPI w Hiszpanii, ale w tempie niższym od inflacji bazowej.

Od marca 2021 r. do września 2022 r. zasadniczy wskaźnik CPI w Hiszpanii był wyższy od średniej w strefie euro. Jednak od sierpnia zaczął spadać. Szybko spadł poniżej średniej w strefie euro, a teraz jest już przeszło 3,5 punktu proc. niższy od niej. Te wahania biorą się głównie z trzech powodów: sytuacji na rynku energii elektrycznej, różnic w obliczaniu inflacji przez poszczególne instytuty oraz tzw. wyjątku iberyjskiego, który wpłynął na obniżenie kosztów ponoszonych przez gospodarstwa domowe mające kontrakty na rynku regulowanym.

Kontrowersje związane ze stosowaną przez hiszpański Narodowy Instytut Statystyczny metodologią służącą do obliczania CPI polegają na tym, że nie uwzględnia on konsumentów mających umowy wolnorynkowe – rodzaj taryfy energetycznej. Charakteryzują się one mniejszymi wahaniami cen, ponieważ nie są one uzależnione (tzn. nie w czasie rzeczywistym) od sytuacji na rynkach hurtowych. Ale w Hiszpanii takie umowy ma aż 60 proc. gospodarstw domowych.

Narodowy Instytut Statystyczny Hiszpanii waży zatem nieproporcjonalne umowy na rynku regulowanym, na których obowiązuje taryfa PVPC. Jej cena zaś jest bardzo zmienna – w zasadzie zmienia się z każdą godziną, w zależności od aktualnej relacji popytu i podaży między przedsiębiorstwami wytwarzającymi energię, a jej sprzedawcami detalicznymi.

Warto zaznaczyć, że Hiszpania to jedyny kraj w Europie, w którym tego typu taryfa regulowana sprawia, że cena energii z rynku dziennego przenoszona jest na konsumenta. Dlatego w przypadku spadku cen gazu, ceny prądu dla konsumentów, też w szybki sposób spadają.

Santiago Martínez, szef działu analiz ekonomicznych i finansowych w Ibercaja, wyjaśnia, że „spowolnienie wydaje się pochodzić w dużej mierze z cen energii elektrycznej. Do tej pory w listopadzie średnia cena na rynku energii elektrycznej wyniosła 121 euro za MWh z uwzględnieniem rekompensaty za gaz, co oznacza spadek o 37,5 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Potęguje to spadek z października (o 18,5 proc.) i wraz z przyzwoleniem na ceny gazu, wydaje się utrwalać zmianę trendu po tym, jak w lutym nastąpił wzrost cen energii elektrycznej o ponad 600 proc. względem ubiegłego roku.

Na powstrzymanie wzrostu cen energii elektrycznej wpłynął zarówno spadek cen gazu z wysokich poziomów (średnio 118 euro za MWh w listopadzie, w sierpniu było to 240 euro), jak i mniejsze wykorzystanie produkcji energii elektrycznej w cyklu kombinowanym, dzięki większemu udziałowi innych źródeł energii, zwłaszcza wiatrowej".

Sytuacja w Hiszpanii jest również efektem bazy. On spowodował gwałtowny wzrost cen w 2021 r. (w przeciwieństwie do roku wcześniejszego, kiedy inflacja była ujemna). Teraz jednak jego skutek jest odwrotny. Duży wzrost cen energii elektrycznej w drugim półroczu 2021 r. sprawił, że obecny spadek tych cen daje większą różnicę. Tempo wzrostu w porównaniu do ubiegłego roku jest więc dużo niższe, w przypadku niektórych części składowych kosztów energii może być nawet ujemne.

Narodowy Instytut Statystyczny tłumaczy, że inflacja w Hiszpanii była powyżej średniej obliczanej dla strefy euro od początku tego roku, ale od momentu osiągnięcia swojego szczytu wynoszącego 10,7 proc. w lipcu zaczęła spadać. „Po osiągnięciu szczytu hiszpańska inflacja gwałtownie spadła, co czyni ją wyjątkową w strefie euro. Inflacja energetyczna gwałtownie spadła i jest znacznie poniżej średniej dla strefy euro. Ceny energii w Hiszpanii gwałtownie wzrosły jesienią 2021 r., przez co porównanie rok do roku jest obecnie znacznie korzystniejsze. Również obniżka VAT na gaz i prąd złagodziła inflację energetyczną" – wyjaśniają eksperci instytutu.

Spada też presja cenowa występująca na wyższych szczeblach łańcucha produkcyjnego. Tanieją surowce i transport, więc koszty produkcji maleją. Narodowy Instytut Statystyczny ogłosił niedawno, że w październiku odnotowano kolejny spadek cen u producentów. W sierpniu inflacja cen producentów sięgnęła 42,9 proc., ale w październiku było to już tylko 26,1 proc. – tak niski poziom nie był notowany od września ubiegłego roku. Ze względu na wcześniejsze podwyżki cen spadł także popyt, co zaowocowało wzrostem zapasów u producentów.

„Inflacja będzie się nadal normalizować w przyszłym roku, ale prawdopodobnie potrwa to do 2024 r., zanim powróci do poziomu około 2 proc., co jest celem Europejskiego Banku Centralnego. Rozwój sytuacji w przyszłym roku będzie zależał od ceny energii i innych czynników produkcji na rynkach międzynarodowych, spadku popytu, kursu wymiany euro do dolara oraz tempa, w jakim spadek cen w górnej części łańcucha produkcyjnego, doprowadzi do obniżenia cen dla konsumentów. Spodziewamy się, że w przyszłym roku inflacja wyniesie średnio 4,4 proc." – prognozują eksperci.

Źródło: El Economista

Bunt kobiet uderza w irański reżim

W niedzielę 4 grudnia, po dwóch miesiącach protestów po aresztowaniu i śmierci Mahsy Amini Iran rozwiązał jednostki policji ds. moralności. Decyzję ogłosił irański Prokurator Generalny. Jednak postępowania sądowe za wykroczenia „przeciwko moralności" będą kontynuowane. Protestujący nie wierzą w likwidację tej formacji i ogłosili trzydniowy strajk narodowy (red.).

Protesty i pożary, palenie chust dla równych praw kobiet w Iranie. Akwarela cyfrowa przedstawiająca irańskie kobiety protestujące po śmierci Mahsy Amini.

Mieszkańcy Iranu są ludźmi spokojnymi, ale niezbyt pokornymi. Olbrzymie wzburzenie ludności było kamykiem, który uwolnił lawinę, która obaliła Mohammada Rezę Pahlawiego i wyniosła do władzy Chomeiniego.

Obecne zamieszki, są nawet większe niż protesty wyborcze z lat 2009-2010 i jak się okazuje, zaczynają przybierać obraz powszechnego oporu przeciwko władzy. Wspomniane protesty związane ze sfałszowanymi wyborami były brutalnie stłumione, uzasadnieniem dla takiej postawy władz były nieliczne przypadki przemocy ze strony protestujących. Obecnie tych zachowań jest znacznie więcej, ofiar jest również dużo więcej. Dochodzi do coraz częstszych pobić, podpaleń budynków rządowych, czy budynków milicji Basij.

Śmierć Mahsy Amini wywołała masowe protesty, pobito ją z powodu niekompletnego przykrycia włosów, uszu i szyi. To okrycie nosi arabską nazwę Hidżab, jako forma przykrycia „ozdób" (tak w Koranie nazwano włosy), choć enumeratywnie Mahomet wymienił jedynie piersi, wspomniał o nagości. Najważniejsze po Koranie źródła pochodzenia moralności i prawa – hadisy Al.-Buchariego nakazują ukrycie uda. Nie wygląda to być może radykalnie, ale praktyka, zwłaszcza nauki szkoły hanbalickiej przykazują zakrywanie całej sylwetki.

Tyle założenia, jak to określił były opozycjonista reformistyczny, Pahlavan: „Hidżab był w ciągu ostatnich czterech dekad najważniejszym z filarów ideologii Islamskiej Republiki Iranu. Działa jak stałe narzędzie władzy narzuconej bezpośrednio połowie społeczeństwa (kobietom) i pośrednio całemu społeczeństwu. Mimo to kobiety studiowały na uniwersytetach, na wszystkich stopniach i kierunkach. Zdobyły wiele znakomitych stanowisk, które pozwoliły im kształcić nowe pokolenia, które domagają się nowoczesnych wartości i absolutnej wolności. Coś, czego nie można zobaczyć w innych krajach Bliskiego Wschodu".

Myślę, że Hidżab pełni bardziej funkcję symbolu podporządkowania kobiet i całości społeczeństwa, stanowiąc doskonały kontrast nakazów dotyczących ubioru (używania strojów w stylu zachodnim w instytucjach publicznych) z czasów Pahlawich. Podobnie symboliczny wyraz miało palenie Hidżabów przez kobiety i publiczne ścinanie włosów, to obraz buntu młodych, który przerodził się w coś większego.

Irańczycy chcą reform, chcą zmian. To z czym walczyli dziadkowie dzisiejszej młodzieży, czyli doskonale skostniała władza, głucha na wolę społeczeństwa, niejednokrotnie okrutna i skorumpowana, wróciło. Historia Iranu zatoczyła koło. Rewolucja Islamska miała przywrócić społeczeństwu to, co w efekcie zabrała, a stała się jeszcze bardziej dotkliwa niż nielubiana monarchia.

Nie kto inny niż Chomeini wprowadził w 1979 roku nakaz noszenia Hidżabu, co spowodowało, że kobiety wyszły na ulicę, brutalnie spacyfikowane przez siły rewolucyjne, które przekształcono w „policję moralności", protestujące kobiety doświadczyły też społecznej marginalizacji, traciły pracę z powodu zaangażowania w protesty, były represjonowane.

Tym, co drastycznie różni dzisiejsze zamieszki przeciw hidżabowi od tych, sprzed 43 lat jest fakt, że te obecne są masowe i dochodzi do nich również na wsi. Oznacza to, że zaplecze konserwatywne ajatollahów na prowincji gaśnie. Warto też zwrócić uwagę, że poprzednie protesty nie niosły w swym nurcie tak wybitnej roli kobiet. Co więcej, podobnie jak bunt przeciwko Pahlawim, teraz również wzburzenie uzyskało poparcie klasy średniej, małego biznesu.

Ponownie oddam głos opozycjoniście, Pahlavanowi: „Nastolatki, które uczestniczą w obecnym powstaniu i nie znają granic w protestach, są dziećmi pokoleń, które przez 20 lat od 1997 do 2017 roku szukały reform poprzez wybory. Ich rodzice uczestniczyli w powstaniu w 2009 roku przeciwko rządowym oszustwom wyborczym. Ale rząd stłumił protesty i ograniczył ich reformistycznych przywódców. Teraz siły bezpieczeństwa nie mogą znaleźć żadnego przywódcy, aby zrobić z młodymi demonstrantami to samo. Wydaje się, że jest to niekończąca się bezgłowa rewolucja, w której jej uczestnicy organizują się za pomocą mediów społecznościowych".

Niewątpliwie wspomniany Pahlavan celnie zwraca uwagę na „bezgłową rewolucję", to czynnik, który jest słabością protestu, ale też jego mocą, struktury siłowe nie mogą aresztować przywódcy, który nie istnieje. W roku 2016 Rada Strażników odrzuciła 60 proc. kandydatów, w głównej mierze tych, którzy deklarowali postawę reformistyczną, wykluczono też 80 proc. kandydatów do Zgromadzenia Ekspertów, w tym wszystkie kobiety.[i]

W 2009 roku, jak wspomniałem, miały miejsce wybory. Skrzydło reformatorskie reprezentował Mir-Hossein Mousavi. Wybory uczciwe nie były – wygrał je Mahmud Ahmadineżad reprezentujący radykałów religijnych. Zwolennicy Mousaviego podnieśli protesty, gdy ogłoszono wyniki, a okazało się, że były okręgi, w których frekwencja miała wynieść 140 proc.! Zamieszki wybuchły we wszystkich większych miastach i zostały brutalnie stłumione. Ich efekt to kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych oraz tysiące aresztowanych. Naturalny lider ruchu reformistycznego był niejednokrotnie aresztowany, a obecnie również przebywa w areszcie domowym.

Po raz kolejny oddam głos Pahlavanowi: „Wcale nie jestem przekonany, że to powstanie jest koalicją mniejszości religijnych, seksualnych i płciowych oraz tłumionych grup etnicznych. Nikt na ulicach nie żąda żadnych zmian, związanych z tymi tematami. Mężczyźni i kobiety, studenci i robotnicy, lekarze i pielęgniarki, sunnici i szyici z różnych grup etnicznych w większości miast, a nawet wsi, demonstrują pod tymi samymi hasłami przeciwko całemu systemowi, zwłaszcza Najwyższemu Przywódcy. Nie pojawiają się osobne tożsamości.

Zastraszanie przez IRI (Islamska Republika Iranu – przyp. red.) zjednoczyło ludzi niezamierzenie pod nazwą Irańczyków skandujących: kobieta, życie, wolność. Teraz Azerowie w Tabriz[ii] śpiewają: wspieramy Kurdystan, a Kurdowie w Sanandaj[iii] śpiewają" niech żyje Azerbejdżan, Baluchowie w Zahidan[iv] śpiewają: oddajemy nasze życie za Iran i ludzie z Teheranu śpiewają: Iran od Kurdystanu do Zahidanu jest jasnością oka[v] i śpiewają to wszystko po persku".

To, co obecnie ma miejsce, znowu różni się od tego, co było wcześniej. Jedynie protesty wyborcze potrafiły na chwilę połączyć ludzi różnych grup etnicznych, zamieszkujących Iran, a i tylko w największych miastach. Niepokorna natura Irańczyków teraz dała jeszcze mocniej znać o sobie. Niespotykanym czynnikiem jest irańskość, a nie etniczność demonstracji. Doskonale koresponduje to z nurtem z czasów Pahlawich, republikańskiego nacjonalizmu (ten nacjonalizm, o czym pisałem w poprzednim tekście, również ma inne oblicze niż na zachodzie), gdyż nie jest etniczny, a kulturowo identyfikacyjny.

Irańczycy, różnych grup etnicznych protestują po irańsku, łączy ich niechęć do opresyjnego reżimy radykałów religijnych. To również przyczyna, dla której pojawiły się ataki przeciwko klerykom szkół koranicznych. Kraj się jednoczy, chociaż w inny sposób niż chciałby tego Najwyższy Przywódca. Reżim intensyfikuje represje i zbiera siły, aby pozbawić protesty mocy, stąd na przykład koncentracja sił porządkowych w Kurdystanie, gdzie cała rzecz się zaczęła.

Smutkiem w tej sytuacji napawa fakt, że protestujący nie są w stanie obalić reżimu, mogą jedynie wywierać presję, co nawet już odniosło niewielki skutek, gdyż Najwyższy Przywódca ogłosił nieco bardziej liberalną interpretację dotyczącą ubioru. Jednak nie zatrzymało to protestów. Obawiam się też, że reżim w najmniejszy sposób nie zmniejszy „politycznego kagańca" i reformiści dalej będą pozbawieni realnej reprezentacji w strukturach władzy.

Niestety taka jest natura reżimów, że w razie zagrożenia wzmagają opresyjność. Wydaje się, że bez przejścia na stronę protestujących jakichś realnych sił wewnętrznych, pacyfikacja zamieszek znowu się powiedzie i jedynym efektem będą kolejne represje.

Czy jest możliwe, że armia niereligijna (Artesh) zbuntowała się przeciwko reżimowi? Nie chce mi się w to wierzyć. Bardziej realnym wariantem wydaje się raczej bunt wśród służb, które będąc zbrojnym ramieniem reżimu, obrócą się przeciw niemu. Jednak sytuacja jeszcze chyba do tego nie dojrzała, chociaż pojawiło się nagranie, z którego wynika, że pojawiły się problemy z motywacją i zmęczeniem. To zjawisko jest oczywiście niepokojące z punktu widzenia władz, ale jeszcze niczego nie zmienia. Nie widzę realnej nadziei na upadek reżimu…

[i] Zgromadzenie Ekspertów wybiera Najwyższego Przywódcę

[ii] Centrum prowincji szyickich azerskich w Iranie

[iii] Centrum Sunnickich Kurdów w Iranie

[iv] Centrum prowincji Sistan i Beludżystan na południowym wschodzie Iranu, gdzie mieszkają Baluchowie

[v] Idiom irański (cheshm o cheragh) – zbliżony do naszego „oczka w głowie", czegoś niezmiernie ważnego, cennego

Krzysztof Jaroszuk

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

16 grudnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 22(34)/2022*

Mundial, który spłynął krwią

Trudno sobie wyobrazić, że kilka tysięcy osób musiało zginąć, aby świat mógł śledzić tegoroczne XXII Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej. To, co się dzieje w Katarze, stanowczo potępiła Amnesty International (AI). Tymczasem organizatorzy twierdzą, że liczba ofiar śmiertelnych, to zaledwie trzy osoby – donosi „La Gaceta".

Przy budowie stadionów na Mistrzostwa Świata w Katarze zginęło 6,5 tys. pracowników!

Tegoroczny mundial jest okupiony śmiercią zbyt wielu osób. „The Guardian" już w lutym 2021 r. podał szokującą liczbę robotników, którzy stracili życie przy budowach stadionów na Mistrzostwa Świata w Katarze. Mowa o 6,5 tys. pracowników! Brytyjski dziennik wylicza, że ginęło średnio 12 osób tygodniowo, od momentu przyznania Katarowi Mistrzostw w grudniu 2010 r. Nie znaczy to, że w historii nie zdarzały się śmiertelne wypadki związane z przygotowaniami do Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej. Wręcz przeciwnie. Jednak ich ogromna liczba w Katarze mocno kontrastuje z wypadkiem dwóch robotników, którzy zginęli w czasie przygotowań do mundialu w RPA w 2010 r., czy dziesięcioma osobami, które straciły życie przy budowie stadionów w Brazylii, przed Mistrzostwami odbywającymi się cztery lata później.

Twierdzą, że to nieprawda

FIFA i Komitet Organizacyjny katarskich Mistrzostw wspólnie zaprzeczają, że liczba ofiar śmiertelnych jest tak duża. Mówią o zaledwie trzech. „Były trzy przypadki śmiertelne związane z pracą i 37 zgonów niezwiązanych z pracą" – powiedział Nasser Al-Khater, dyrektor generalny Katar 2022, który oskarża międzynarodową prasę o wykorzystywanie liczby 6,5 tys. zgonów do „tworzenia negatywnego obrazu" jego kraju.

Innego zdania jest Nicholas McGeehan, dyrektor Fair/Square. Pozarządowa organizacja, którą reprezentuje, podała nazwiska zmarłych robotników. Najgłośniej też potępia brak zabezpieczeń dla zagranicznych pracowników. McGeehan twierdzi, że doszło do „rażących zaniedbań w ochronie" pracujących osób i że „większości zgonów i obrażeń można było uniknąć".

Amnesty International w odpowiedzi na to, co dzieje się w Katarze, rozpoczęła kampanię #PayUpFIFA. Wzywa Międzynarodową Federację Piłki Nożnej do przeznaczenia części dochodów wygenerowanych przez Mistrzostwa na zadośćuczynienie i odszkodowanie dla pracowników, którzy cierpieli w okropnych warunkach. AI chce, by fundusz kompensacyjny wyniósł „co najmniej 440 mln dolarów" – tyle samo, ile FIFA przeznacza dla drużyn uczestniczących w rozgrywkach.

Ci, którzy stracili życie

Za każdym zgonem robotnika stoi smutna historia. Jedna z najbardziej przykrych dotyczy 24-letniego Nepalczyka Rupchandry Rumby. Chciał on w Katarze zarobić trochę pieniędzy dla swojej rodziny. Aby się tu dostać, wyłożył sporą sumę. Jednak został oszukany. Zaoferowano mu bardzo skromne wynagrodzenie, a praca, którą wykonywał, była mordercza i doprowadziła tego młodego człowieka w czerwcu 2019 r. do zawału serca. Spędzał ponad 12 godzin dziennie na rusztowaniu Education City Stadium, jednego ze stadionów Mistrzostw. Pracował siedem dni w tygodniu, w temperaturze około 50 stopni Celsjusza. Jednak dla katarskich władz zgon Rumby nie był związany z wykonywana pracą. Jego żonie wypłacono odszkodowanie w wysokości 1,9 tys. euro.

System, który zniewala

Wszystkiemu winny jest system kafala („sponsoring" w języku arabskim). Obowiązuje nie tylko w Katarze, również w innych krajach Bliskiego Wschodu (Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Bahrajnie, Arabii Saudyjskiej, Omanie, Kuwejcie, Libanie i Jordanii) i stanowi jedną z form niewolnictwa na świecie. Dla chcących zatrudnić się w tych krajach imigrantów oznacza on wygórowane stawki rekrutacyjne, przymusową pracę w bardzo ciężkich warunkach, opóźnione wypłaty skandalicznie niskich wynagrodzeń (a nawet ich brak) oraz długie godziny pracy bez ani jednego dnia wolnego.

„Ten system, który wywodzi się z tradycyjnej gospodarki poławiania pereł w Zatoce Perskiej, wykorzystuje i oczernia ludzi, pogrążając ich w labiryncie, z którego trudno się wydostać. Powstał on na początku XX wieku, a w latach 50. uległ znacznemu rozszerzeniu w celu przyciągnięcia zagranicznej siły roboczej poprzez przyznanie migrantom specjalnego statusu, który umożliwiał im pracę bez konieczności dopełniania skomplikowanych procedur wizowych" – tłumaczy „La Gaceta".

System, który z założenia miał ułatwić życie przyjeżdżających pracowników, został jednak wypaczony, pozwalając na bezkarne ich zniewolenie przez kafeel (pracodawcę), Tam, gdzie on obowiązuje, siła robocza pochodzi głównie z rozwijających się krajów Azji Południowo-Wschodniej (Indie, Pakistan, Bangladesz, Sri Lanka, Nepal i Filipiny) oraz Afryki Północnej.

Pracownik nie jest w stanie walczyć o godniejsze warunki, bo pracodawca może w każdej chwili unieważnić jego pozwolenie na pobyt. W takiej sytuacji grozi mu deportacja. Póki pracuje, nie wolno mu zmienić pracy ani opuścić kraju bez zgody pracodawcy.

Kolejnym ważnym punktem w kafali jest konieczność zatrudnienia pośrednika, który może otrzymać ponad 35 proc. miesięcznego wynagrodzenia pracownika. Dodatkowo winny jest wszechobecny rasizm – zarobki pracowników znacznie różnią się w zależności od kraju pochodzenia.

Więcej niż połowa to „niewolnicy"

Katar ma 2,6 mln mieszkańców, z czego 1,7 mln to pracownicy zagraniczni zniewoleni systemem kafala. Nikt ich nie bierze w obronę, a związki zawodowe są zakazane prawem.

„W listopadzie 2017 r. władze Kataru zobowiązały się wobec Międzynarodowej Organizacji Pracy do zniesienia systemu kafala i przeprowadzenia szeregu reform prawa pracy, które powinny wejść w życie do 2022 r. Robotnicy mieli mieć m.in. prawo do zgłaszania skarg i minimalnej płacy w wysokości 275 dolarów miesięcznie" – informuje „La Gaceta".

Amnesty International twierdzi jednak, że niewolnictwo nadal jest instytucjonalizowane w tym kraju, podobnie jak w wielu pozostałych krajach regionu. FIFA najwyraźniej nie wstydzi się napełniać tu swoich kieszeni.

Źródło: La Gaceta

Co z kursem złotego? I czy rzeczywiście jest taki słaby, jak o nim mówią?

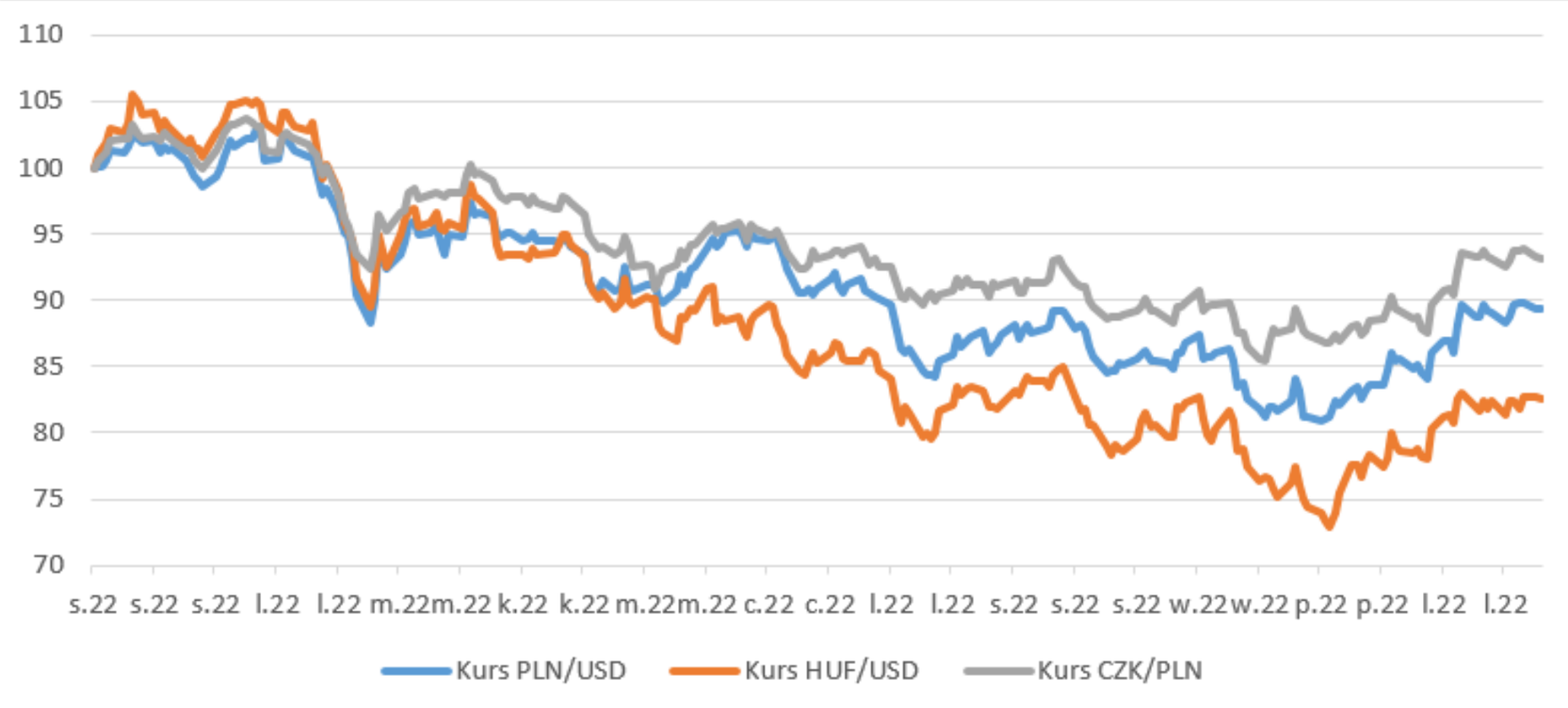

Kurs złotego, forinta i czeskiej korony wobec dolara w konwencji odwrotnej (początek roku = 100, dane: stooq.pl)

Ostatnimi czasy kluczowym dowodem na to, że polityka gospodarcza w Polsce jest źle prowadzona, jest kurs złotego. Chodzi o to, że od początku roku nasza waluta mocno się osłabiła wobec dolara i euro. Osłabienie to ma wynikać rzekomo z błędów, takich jak „rozdawnictwo" czy „zbyt niskie stopy procentowe". Gdyby stopy były wyższe, a 500+ zlikwidowane, mielibyśmy mocną walutę i niższą inflację. To obiegowa opinia, która ma jednak niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Zacznijmy od tego, że faktycznie, kurs złotego wobec dolara osłabił się o ponad 10 proc. od początku roku. I trzeba przyznać, że to sporo. Szczególnie że jeszcze na początku tego roku złoty wykazywał tendencję wzrostową, a zatem umacniał się wobec USD. Analizujemy dolara, ponieważ to ta waluta odgrywa kluczową rolę, jeśli chodzi o zakupy surowców energetycznych, a zatem jej notowania mogą silnie oddziaływać na inflację krajową. Poza tym także euro znacząco osłabiło się w tym roku wobec amerykańskiego pieniądza. Powód? Oczywiście wojna w Ukrainie i związane z nią ryzyka makroekonomiczne dla niemal całej Europy. Świat finansów widzi wśród państw UE te same zagrożenia gospodarcze, czyli wzrost kosztów związany z drożejącymi surowcami. Dodatkowo Polska znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie wojny. To oznacza, że w jej wypadku ryzyko geopolityczne jest znacznie większe niż w sytuacji Hiszpanii czy Francji.

Odpowiedź na taką argumentację może być następująca: a czeska korona, ona nie osłabiła się tak bardzo, jak złoty. A przecież Czechy też są blisko wojny. Zgoda. Chociaż czy sytuacja Polski i Czech jest identyczna? Tu można polemizować. Przyjmijmy jednak, że oba kraje są narażone na to samo ryzyko geopolityczne. Zanim przejdę do wyjaśnienia, dlaczego korona osłabiła się mniej niż złoty, wspomnę jeszcze o węgierskim forincie. Ten, w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy stracił najwięcej w porównaniu do złotego i korony. Nie jest zatem tak, że to PLN jest najgorszy w tej części Europy. Od początku roku forint stracił bowiem wobec dolara niemal 18 proc. Nasza waluta zaś niecałe 11 proc. Czeska korona z kolei blisko 7 proc. Co istotne, wśród tej trójki najwyższe stopy są tam, gdzie kurs zleciał najbardziej. Na Węgrzech główna stopa wynosi bowiem 13 proc., jest zatem niemal dwukrotnie wyższa niż w Polsce. W Czechach to 7 proc. więc trochę więcej niż u nas. To pokazuje, że stopami procentowymi w obecnych warunkach trudno jest w dłuższym okresie oddziaływać na poziom kursu.

Waluty państw naszego regionu są aktualnie silnie uzależnione od dwóch czynników. Pierwszym jest oczywiście bliskość wojny i wynikające z tego konsekwencje, zarówno ekonomiczne, jak i polityczne. Drugim, także bardzo istotnym, jest poziom stóp procentowych za Oceanem. Im bardziej jastrzębi jest amerykański Fed, tym gorzej dla złotego, forinta i korony czeskiej. Jeśli zaś pojawia się perspektywa bardziej gołębiego nastawienia Rezerwy Federalnej, wtedy waluty państw naszego regionu zyskują. Są one zatem pod wpływem potężnych sił, które bardzo trudno jest przeważyć poziomem stóp krajowych. Można je zatem podnosić, nie osiągając większego efektu kursowego. Potwierdzeniem tej tezy jest ostanie umocnienie tych walut, mimo że stopy nie ruszyły się z miejsca. Po prostu wzrosło prawdopodobieństwo wyhamowania podwyżek stopy procentowej w USA, co ma związek ze spowolnieniem inflacji. To wystarczyło.

Jaki jest zatem powód, dla którego korona osłabiła się znacznie mniej niż złoty? Wystarczy spojrzeć na poziom rezerw Czeskiego Banku Narodowego, żeby zorientować się, o co chodzi. Jeszcze na początku tego roku było to 175 mld USD. W październiku zaś już 130 mld USD. Oznacza to, że w ciągu ostatnich miesięcy rezerwy te zmniejszyły się o 25 proc. To pokazuje, jak wielka musiała być skala interwencji tamtejszego banku centralnego, zmierzająca do stabilizacji kursu narodowej waluty. W tym samym czasie spadły też rezerwy NBP, ale skala tego spadku była znacznie mniejsza w porównaniu z tą w Czechach. Wyniosła bowiem 10 mld USD. To zatem nie poziom stóp czy inne czynniki makroekonomiczne zdecydowały o tym, że korona radziła sobie lepiej niż złoty, tylko aktywność władz monetarnych, które podejmowały interwencje na rynku walutowym w celu umocnienia korony. Kosztem było znaczne uszczuplenie rezerw walutowych.

Narracja o tym, że złoty jest słabszy, bo stopy procentowe są za niskie, i do tego ludzie mają pieniądze z programów społecznych, co wpływa na poziom zadłużenia, nie ma potwierdzenia w rzeczywistości. Nasza waluta jest pod presją sytuacji geopolitycznej i starań największych banków centralnych świata, zmierzających do zduszenia inflacji. To są główne czynniki, jakie decydują o kursie PLN.

Kamil Goral

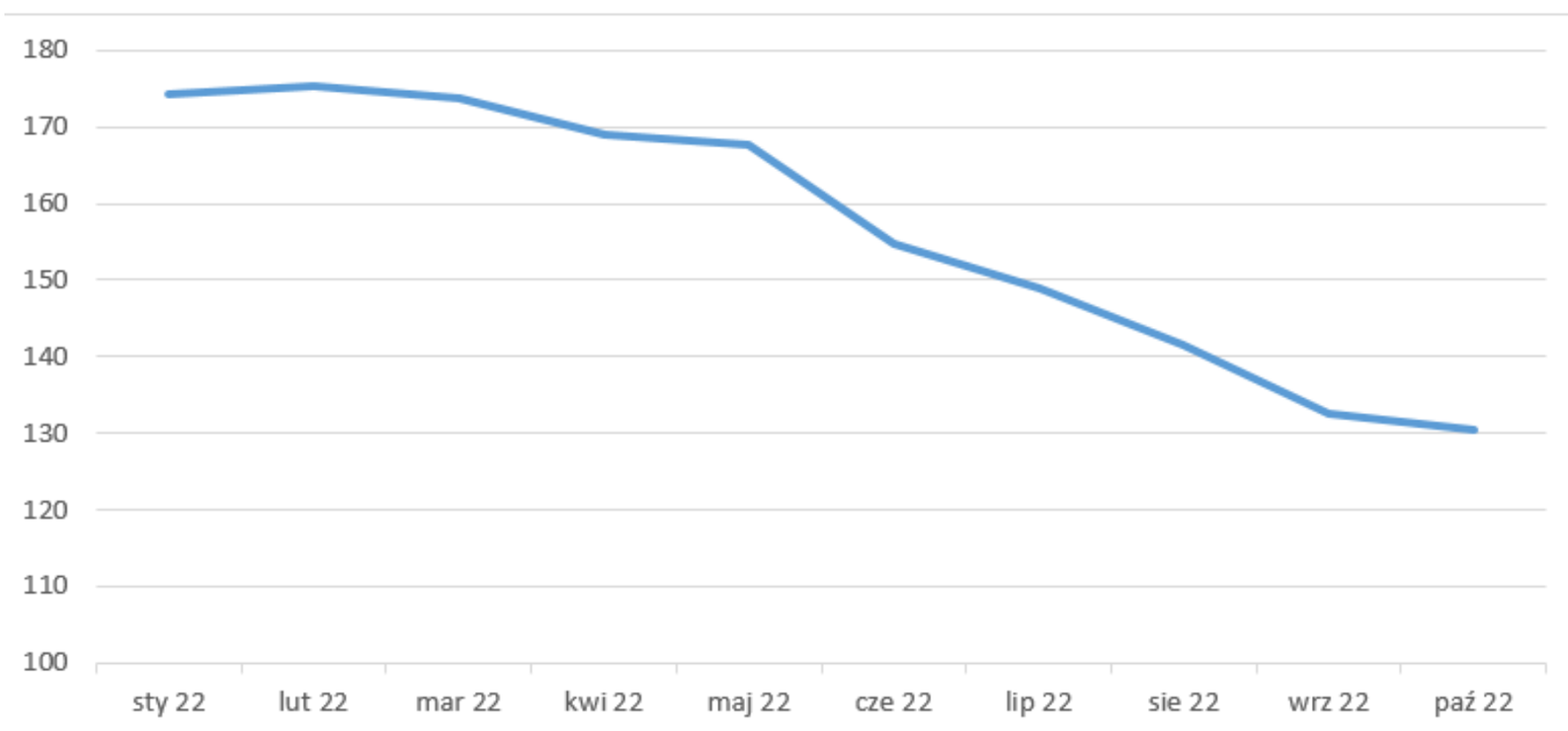

Czeskie rezerwy walutowe w mld USD, dane: Czeski Bank Narodowy